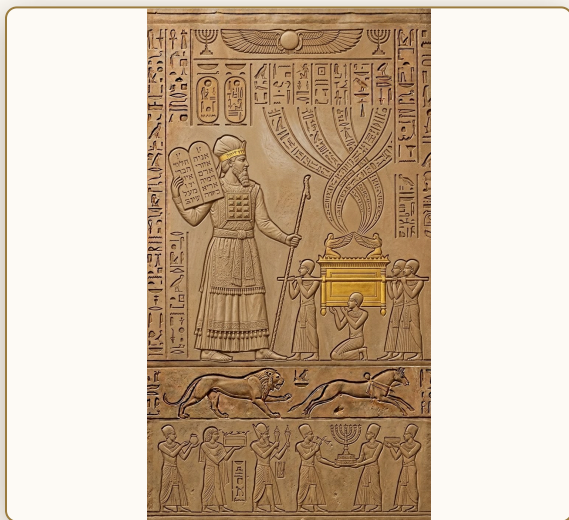


MOJŻESZ

TOM 3

PRAWA RĘKA BOGA



MAREK MIGAŁA

SAGA O MOJŻESZU

Tom 1

Obrońca Egiptu

Tom 2

Wielki Dowódca Armii

Tom 3

Prawa Ręka Boga

Tom 4

Ziemia Obiecana

(w przygotowaniu)

*I przemówił Pan do Mojżesza twarzą w twarz,
jak się rozmawia z przyjacielem.*

Wj 33,11

Copyright © Marek Migąła, 2026

Wszelkie prawa zastrzeżone.

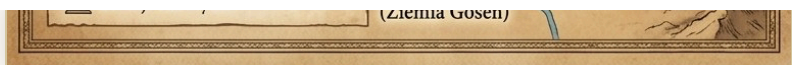
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana w systemie wyszukiwania ani przekazywana w jakiegokolwiek formie lub jakimikolwiek środkami — elektronicznymi, mechanicznymi, fotokopią, nagraniem ani innymi — bez uprzedniej pisemnej zgody autora.

Wydanie pierwsze, 2026

Prawa Ręka Boga jest powieścią historyczno-fikcyjną. Postacie i wydarzenia zostały zainspirowane tradycją biblijną i starożytną, jednak przedstawione tu myśli, dialogi i szczegóły fabularne są dziełem wyobraźni autora.

MAPA GEOGRAFICZNO-HISTORYCZNA EXODUSU IZRAELITÓW





SPIS TREŚCI

Słowo od Autora

Dramatis Personae

Prolog — Siódme niebo

Goszen — noc po ostatniej audiencji

Rozdział I — Palec Boży

Egipt — laska i wąż, krew, żaby, komary; magowie przegrywają z palcem Boga

Rozdział II — Noc pierworodnych

Egipt — od much do ciemności; krzyk o północy i znak na drzwiach

Rozdział III — Wyjście

Goszen i pustynia — ostatnia noc w Egipcie, marsz, pierwsze dni

Rozdział IV — Bileam

Petor nad Rzeką — widzący, którego świat postawił naprzeciw Mojżesza

Rozdział V — Przez pustynię ku morzu

Marsz, Miriam widzi przyszłość, Pi-Hachiot, przejście przez morze

Rozdział VI — Morze Czerwone

Pustynia Szur i Morze Trzcin — pościg, przejście, ocalenie

Rozdział VII — Oręż i manna

Pustynia Szur i Sin — pierwsze tygodnie wolności

Rozdział VIII — Amalek

Refidim — Amalek atakuje ogon, bitwa, uniesione ręce

Rozdział IX — Jetro

Pustynia Synaj — teść przyjeżdża, rada Jetry, powrót Sefory, zaproszenie Hobaba

Rozdział X — Synaj

Góra Synaj — obłok i wielkie widzenie

Rozdział XI — Prawo

Góra Synaj — rozprawa z aniołami, Dekalog, cień u podnóża

Rozdział XII — Złoty cielec

Góra Synaj — żądanie boga, odlew cielca, człowiek z mieszaniny, zejście

Rozdział XIII — Miecz przez obóz

Obóz pod Synajem — miecz Lewitów, Aaron, drugie tablice, twarz Mojżesza

Rozdział XIV — Przybytek

Synaj — druga góra, litery Besalela, Mieszkanie dla Ognia, zejście Chwały

Rozdział XV — Groby Pożądania

Siedemdziesięciu starszych, Eldad i Medad, Mojżesz i ciężar przywództwa

Rozdział XVI — Kocioł

Petor — świat pęka: głód, posłowie Egiptu, kłótnia królów Kanaanu i lud, którego nie ma na żadnej liście

Rozdział XVII — Miriam i Aaron w Chazerot

Spór o Kuszytkę, trąd Miriam, pięć słów modlitwy i kobieta przy studni

Rozdział XVIII — Zwiadowcy

Kadesz-Barnea — dwunastu zwiadowców, Hebron, raport, wyrok czterdziestu lat

Rozdział XIX — Chorma

Wzgórza Negebu — próba wejścia bez Arki, klęska pod Chormą, plaga na zwiadowców, dwie noce po wyroku

Epilog — Nad Wielką Rzeką

Petor — widzący czyta wyrok jako swoją szansę i rozstawia figury nadchodzących wojen

SŁOWO OD AUTORA

Tom trzeci to powrót do Egiptu.

Mojżesz ma osiemdziesiąt lat, kiedy staje przed faraonem po raz pierwszy po czterdziestu latach ucieczki. Egipt jest tym samym Egiptem — te same pałace, ci sami kapłani, ta sama machina władzy — ale człowiek, który do niego wraca, nie jest tym samym człowiekiem. Czterdzieści lat pustyni zmieniło go w sposób, którego faraon nie rozumie i nie potrafi przewidzieć.

Ta historia jest o tym, czego nie widać w ikonografii.

W malowidłach i rzeźbach Mojżesz trzyma laskę i rozdziela morze. W filmach wznosi ręce i spada ogień. Ale między tymi obrazami jest człowiek, który przez dziesięć plag musiał wracać przed faraona — wiedząc, że poprzednia plaga nie wystarczyła, że kolejna też może nie wystarczyć, że każde „nie” faraona kosztuje Egipcjanina i Izraelitę coś, czego nikt potem nie zwróci.

Człowiek, który po przejściu przez Morze Czerwone stanął na drugim brzegu z ludem, który od trzech pokoleń nie znał wolności i nie wiedział, co z nią zrobić.

Człowiek, który stał między Bogiem a Izraelem — i kiedy Izrael odwrócił się od Boga przy złotym cielcu, stanął między nimi oboma, prosząc jednego, żeby darował drugiemu.

Marek Migala

2026

DRAMATIS PERSONAE

Główne postacie sagi

RODZINA MOJŻESZA

Mojżesz

Prorok i prawodawca Izraela. Ma osiemdziesiąt lat, kiedy wraca do Egiptu. Wyprowadza lud z niewoli — przez dziesięć plag i Morze Czerwone — i staje z nim pod górą Synaj.

Aaron

Starszy brat Mojżesza, pierwszy arcykapłan Izraela. Głos Mojżesza przed faraonem, teraz głos ludu przed Bogiem.

Miriam

Siostra Mojżesza i Aarona, prorokini. Prowadziła kobiety w

pieśni po przejściu przez morze.

Sefora

Żona Mojżesza, córka Jetry,
kapłana Midianu. Matka
Gerszoma i Eliezera.

Gerszom

Starszy syn Mojżesza i Sefory,
urodzony w Midianie.

Eliezer

Młodszy syn Mojżesza i Sefory.

NASTĘPCY I WODZOWIE

Jozue

Syn Nuna, prawnuk Józefa, z
pokolenia Efraima. Dowódca
wojskowy Izraela, wyznaczony
następcą Mojżesza. Towarzyszył
mu na Synaju.

Kaleb

Syn Jefunnego, Kenizyta z
pokolenia Judy. Jeden z dwóch
zwiadowców (obok Jozuego),
którzy zachowali wiarę po
powrocie z Kanaanu. Otrzyma
Hebron.

LUD I DORADCY

Jetro (Reuel)

Kapłan Midianu, teść Mojżesza.
Doradza mu w sprawach
sądownictwa przy Synaju —
system tysięcy, setek i dziesiątek.

Hobab

Syn Jetry, Midianita. Zna każde
wejście i każde wyjście z tej
pustyni. Zgadza się prowadzić
Izraela przez pustynię.

ANTAGONIŚCI

Bileam, syn Beora

Widzący z Petor nad Wielką
Rzeką, największy prorok
narodów — lustrzane
przeciwieństwo Mojżesza. Ślepy
na jedno oko, kulawy, jeździ na
oślicy. Sprzedaje królom klątwy;
jego mocy nie dostaje się za
darmo. Doradził kiedyś
faraonowi topienie hebrajskich
chłopców, więc jest wrogiem
Mojżesza od jego narodzin.

Jannes i Jambres

Synowie Bileama, arcymagowie
faraona. Rzucają laski, które stają
się węźami, i powtarzają pierwsze

plagi, aż zawodzą przy komarach
— „to palec Boży”.

Agag

Wódz Amalekitów. Tytuł, nie
imię — bierze go każdy kolejny
wódz. Człowiek, który nie uderza
w czoło.

KRÓLOWIE ZZA PUSTYNI

Sichon

Król Amorytów, pan Cheszbonu,
który odebrał to miasto Moabowi
mieczem. Rosły i groźny, lecz
krwi zwykłej — nowy król, który
tron wziął mieczem, a nie
odziedziczył.

Og

Król Baszanu, olbrzym — ostatni
z królewskiego rodu Refaitów,
ostatni król-gigant Zajordanii.
Sześćdziesiąt miast i łoża z
żelaza, którego nie udźwignąłby
wół.

Balak

Król Moabu — nie wojownik i
nie olbrzym, lecz tchórz, który
wierzy w klątwy bardziej niż we
własne wojsko.

Achiram

Król Aradu, Kananejczyk z Negebu. Obserwuje Izrael z gór i czeka na jego pierwszy błąd.

EGIPT

Nebwenenef

Najwyższy kapłan Amona. Świadek plag z drugiej strony — człowiek wiary zderzonej z mocą, której nie rozumie.

Nachtmin

Generał armii egipskiej, dowodzi pościgiem do Morza Czerwonego.

Baki

Egipcjanin, drobny urzędnik dworu — oczy czytelnika w Egipcie przez dziesięć plag i noc pierworodnych.

ŚWIAT NADPRZYRODZONY

Mastema

Książę wrogości, postawiony nad Egiptem — urząd mu został, wierność nie. Stoi za twardością faraona.

Samael

Największy ze strąconych — ten, który powiedział *wstąpię*, i ten,

który nie chciał się pokłonić
glinie. Imię znaczy „jad Boży”.
Oskarżyciel przed Tronem: nie
kłamie, dobiera prawdę tak, by
zabijała.

Michał, Gabriel, Zagzagel Trzej aniołowie służebni. Michał —
archanioł Izraela; Gabriel —
„Bóg jest moją mocą”; Zagzagel
— pisarz synów nieba.



PROLOG — Siódme niebo

Goszen — noc po ostatniej audiencji

Szaleniec

— Nazwał mnie szaleńcem. — Głos mu się nie łamał, ale coś pod głosem drżało. — Powiedział, że jestem starcem, który uwierzył we własne sztuczki, że laska i kilka błyskotek mącą mi rozum i że wyobrażam sobie, że mogę nakłonić najpotężniejszego człowieka pod słońcem, żeby wypuścił prawie dwa miliony rąk do pracy, bo tak mi się przyśniło w Midianie.

Powiedział to spokojnie. To było najgorsze — nie krzyczał. Faraonowie krzyczą, kiedy się boją. Merenptah patrzył na Mojżesza jak na coś, co trzeba było wcześniej rozdeptać.

— A potem kazał podwoić normę. Cegły bez słomy, Panie. Ludzie mają teraz sami zbierać ściernisko po polach, żeby mieć czym wiązać glinę, i wyrabiać tyle samo cegieł co przedtem. Nadzorcy biją tych, którzy nie nadążają, a nie nadąża prawie nikt.

Zamknął oczy. Zobaczył twarze — nie wyobrażone, zapamiętane z popołudnia. Starszyzna ludu czekała na niego przy studni, kiedy wracał z pałacu, i wiedziała już wszystko, zanim otworzył usta. Jeden z nich, Elicur, spojrzał na

Mojżesza tak, że tego spojrzenia nie dało się opisać inaczej niż jako wyrok.

Niech Pan wejrzy na was i osądzi, żeście narazili nas na nienawiść u faraona i sług jego, żeście im dali miecz do ręki, aby nas zabijali.

— Oni mieli rację, że to powiedzieli — szepnął Mojżesz.
— Przyszedłem w Twoim imieniu i przyniosłem im tylko cięższe jarzmo. Powiedziałaś mi, że ich wybawisz, a ja widzę tylko więcej krwi na ich plecach.

Bogowie Egiptu

Przypomniawszy sobie ostatnie zdanie faraona, to, które wypowiedział już od progu, kiedy Mojżesz i Aaron byli odprawiani przez straż.

— Egipt ma swoich bogów od czasu, kiedy Nil po raz pierwszy wylał na pola — powiedział Merenptah, nie odwracając się. — Amon-Re rodzi słońce każdego ranka od tysiąca pokoleń. Ozyrys sędzi zmarłych. Hapi daje wodę. Nie ma tu miejsca dla boga niewolników, który nie ma nawet posągu.

Mojżesz otworzył oczy i spojrzał w ciemność namiotu tak, jakby w niej było coś widzialnego.

— Słyszałeś go, Panie. Powiedział, że nie ma dla Ciebie miejsca w tym kraju.

Wtedy przyszła odpowiedź.

Nie był to głos z zewnątrz, jak wiatr czy grzmot. Był głębiej niż słuch, w miejscu, gdzie Mojżesz nie miał żadnej ściany, żeby się przed nim zamknąć.

Nie ma miejsca dla Mnie w Egipcie, powiada. Zobacz, ile miejsca dla niego zostanie, kiedy z nim skończę.

Mojżesz poczuł, jak włosy na przedramionach stają mu dęba, chociaż w namiocie nie było wiatru.

Obalę wszystkich bogów Egiptu, jednego po drugim, i pokażę ich takimi, jakimi są — pustymi imionami wyrzeźbionymi w kamieniu, bez tchu, bez mocy, bez życia. Amon-Re nie ocali swojego słońca. Hapi nie ocali swojej rzeki. Ozyrys nie ocali nawet siebie samego przed tym, co nadchodzi. Poznają wtedy — faraon, jego kapłani, jego lud i twój lud, Mojżeszu — że wszelka moc, jaka kiedykolwiek istniała pod niebem, wychodzi ode Mnie i że to, co ludzie nazywają bogami, jest niczym, jeśli Ja nie pozwolę im być czymkolwiek. Ciebie uczyniłem swoim narzędziem, żeby cała ludzkość, od Nilu po najdalsze morza, poznała jedną rzecz na zawsze: Ja Jestem, i nie ma przede Mną żadnego innego.

Mojesz osunął się z kolan na dłonie, czoło niemal przy ziemi.

— Jestem tylko człowiekiem, który jąka się przed tronem — powiedział w glinę pod sobą. — Jak mam być narzędziem czegoś takiego?

Narzędzie nie musi rozumieć ręki, która je trzyma. Musi tylko być ostre wtedy, kiedy ręka tnije.

Nagroda

Cisza, która nastąpiła potem, była inna niż wszystkie dotychczasowe. Mojesz poczuł, że coś w powietrzu namiotu gęstnieje, tak jak gęstniało na Horebie, tylko dziesięć razy mocniej, sto razy — jakby cała komnata wstrzymała oddech.

Służyłeś Mi wiernie, odkąd zawróciłeś od krzewu. Pokażę ci teraz, w nagrodę, miejsce, do którego trafi każdy, kto Mi wiernie służy do końca. Nie po to, żebyś to rozumiał rozumem — nikt tego nie rozumie rozumem. Po to, żebyś to niósł w ciele, kiedy przyjdzie ci mówić do faraona po raz kolejny i wydawać ci się będzie, że nikt nigdzie nie słucha.

Mojesz nie zdążył odpowiedzieć. Poczuł, jak coś w nim — nie ciało, coś pod ciałem, to samo, co czuł jako ka przy

krzewie, tylko teraz bez granic — zaczyna się unosić.

Wniebowstąpienie

Pierwsza sfera

Namiot zniknął pierwszy. Potem zniknął Goszen, potem Egipt, potem gwiazdy, które Mojżesz znał z pustynnych nocy — nie dlatego, że odleciał od nich, ale dlatego, że przestały być tym, do czego przywykł. Znalazł się w warstwie światła, która nie miała koloru, tylko intensywność, i zrozumiał — nie wiedział skąd, wiedział po prostu — że to jest pierwsza z siedmiu sfer, najbliższa ziemi, najgęstsza, najbardziej podobna do świata, który zostawił.

Przez tę sferę i przez sześć następnych po niej przechodziły kształty. Nie miały twarzy, jakie znał, ale miały coś, co rozpoznawał jako czucie — cień gniewu w jednym miejscu, cień żalu w innym, jak gdyby ta warstwa istnienia była zbudowana wprost z tego, czego ludzie na dole nie potrafili z siebie wyrzucić. Poczuł, przechodząc, ciężar. Nie swój. Cudzy, tysięcy istnień, które utknęły tutaj, bo niosły w sobie za dużo tego, co ziemskie, żeby wznieść się wyżej.

Kolejna sfera była jaśniejsza i lżejsza, i tak przez wszystkie siedem — z każdą warstwą mniej cienia, mniej

ciężaru, więcej czegoś, co Mojżesz mógł nazwać tylko ciszą o innej jakości niż cisza namiotu. Nie brak dźwięku. Obecność czegoś, co nie potrzebowało dźwięku, żeby być pełne.

Na granicy siódmej krainy Duatu obejrzał się — nie oczami, czymś, co teraz służyło mu za oczy — i zobaczył ziemię daleko w dole, malutką, błyszczącą i kruchą, jak ziarnko piasku, które przez pomyłkę wzięto za cały świat.

Bramy niebios

Za siódmą krainą Duatu była granica, a za granicą zaczynało się coś innego w samej swojej naturze, nie tylko stopniem jasności. Mojżesz poczuł, jak przechodzi przez nią, tak jak przechodzi się przez wodę, wchodząc do rzeki — opór, potem przyjęcie.

Pierwsze niebo było jak sad o zmierzchu, kiedy wszystko pachnie i nic nie jest ostre. Drugie było jak głęboka, spokojna woda, w której światło nie gasło, tylko rozchodziło się warstwami. Trzecie, czwarte, piąte — Mojżesz przechodził przez nie i z każdym czuł, że coś w nim samym staje się cieńsze, przezroczystsze, jakby to, co przez całe

życie nazywał sobą, było tylko grubym płaszczem, który teraz zdejmowano warstwa po warstwie.

W piątym niebie zobaczył duchy po raz pierwszy tak, jak mógł znieść ich widok — nie kształty ludzi, tylko czyste płomienie inteligencji, każdy inny, każdy nieskazitelny, poruszające się między sobą bez zderzeń, bez cienia rywalizacji, jaką znał z każdego ludzkiego dworu, jaki widział. Rozpoznał — znowu nie wiedział skąd — że to są ci, którzy służyli wiernie do końca, oczyszczeni z każdej warstwy tego, co ciągnęło w dół.

Na ich widok Mojżeszowi zadrżały ręce, których już prawie nie czuł jako rąk. Czystość tej energii — nie miał dla niej innego słowa niż czystość, chociaż wiedział, że to słowo jest za małe — uderzała w niego jak fala uderza w skałę zbyt długo stojącą na suchym lądzie. Włosy, gdyby jeszcze miał włosy w tym stanie, stanęłyby mu dęba. Zamiast tego poczuł to jako dreszcz przechodzący przez samą istotę tego, czym teraz był.

Zapłakał. Nie wie, czy to była twarz, która płakała, czy coś głębszego, ale poczuł to jako płacz — szloch, który nie miał w sobie bólu, tylko przeogromny, miazdzący żal.

Dlaczego płaczesz, sługo mój?

— Bo widzę, jak wysoko można żyć — powiedział, albo pomyślał, albo po prostu było to prawdą w nim bez słów — a widziałem, jak nisko żyją ludzie na dole. Faraon karze mój lud dodatkową pracą za to, że odważyłem się prosić o wolność. Kapłani kłaniają się kamieniom, które nie słyszą. A tu, tu jest to, do czego mogliby dojść, i nikt im nie powiedział, jak blisko to jest.

Siódme niebo

Szóste niebo Mojżesz zapamiętał gorzej niż pozostałe — może dlatego, że to, co czuł, przestawało dać się dzielić na kolejne stopnie, tak jak fala rosnąca ku brzegowi przestaje dać się liczyć jako osobne fale. Wiedział tylko, że światło, w którym się znajdował, było już jaśniejsze niż cokolwiek, co widział oczami ciała, a mimo to nie raniło.

Siódme niebo nie było miejscem, do którego się weszło. Było czymś, w co się wchodziło tak, jak kropla wchodzi w morze, wiedząc, że przez chwilę wciąż jest kroplą, ale już czuje, że granica się rozpuszcza.

Tutaj nie było już duchów do oglądania. Był tylko blask, tak gęsty i tak żywy, że Mojżesz — cokolwiek z niego zostało w tej postaci — poczuł, że jego istnienie zaczyna

drzeć na krawędzi tego, co może znieść. Nie strach. Coś ogromniejszego niż strach, coś, co ogarniało jednocześnie grozę i zachwyty tak zupełnie, że nie dało się ich rozdzielić.

Poczuł Chwałę, zanim ujrzał jej jakikolwiek kształt — jeśli to, co przyszło potem, w ogóle miało kształt. Uderzyła w niego nie jak światło uderza w oczy, ale jak ogień uderza w suche drewno: całkowicie, bez reszty, bez pytania o zgodę. Wszystko, czym Mojżesz kiedykolwiek był — pasterz, książę, mąż, zabójca, prorok — spłonęło w jednej chwili do tego, czym był naprawdę: niczym wobec tego.

I wtedy zrozumiał, dlaczego nikt z ludzi nie mógł oglądać tej twarzy i żyć. Nie dlatego, że Bóg tego zabraniał ze złości czy zazdrości. Dlatego, że żadne stworzone ciało, żadna stworzona dusza nie miała dość miejsca w sobie, żeby pomieścić coś tak ogromnego, nie pękając jak dzban, w który wlano ocean.

Mojżesz — to, co z niego zostało — zachwiał się, jakby miał zemdleć, chociaż w tej postaci nie miał już z czego mdleć. Poczuł, jak coś go podtrzymuje, delikatnie, jak ojciec podtrzymuje dziecko, które postawiło pierwszy krok i się przewróciło.

Dosyć, sługo mój. Więcej niż to nie zniósłbyś nawet w tej postaci. Zapamiętaj to, co poczułeś, bo to jest prawda o tym,

kim jestem, i prawda o tym, dokąd zmierzają ci, którzy Mi wiernie służą. Reszta jest tylko drogą.

Powrót

Zejście było szybsze niż wstępowanie — jak kamień puszczony z klifu spada szybciej, niż wspina się po nim człowiek. Sfera po sferze, niebo po niebie, aż Mojżesz poczuł znowu ciężar kolan na klepisku namiotu, ciężar rąk, ciężar oddechu wchodzącego i wychodzącego z płuc, które przez chwilę — nie wiedział, jak długą — nie były mu potrzebne.

Otworzył oczy. Namiot. Ciemność zwykłej, ziemskiej nocy. Nigdzie żadnego blasku, żadnego płomienia bez cienia. Tylko knot lampy dogasający w kącie i zapach oliwy.

Twarz miał mokrą. Płakał naprawdę, ciałem, i płacz jeszcze nie ustał.

Przez długi czas nie ruszał się z klęczek. Kiedy w końcu wstał, wiedział jedną rzecz z pewnością, jakiej nie miał od czasu krzewu na Horebie: cokolwiek faraon zrobi jutro, cokolwiek zrobi pojutrze, cokolwiek jeszcze wyznaczy jego ludowi w gniewie — to wszystko było tylko drogą. A na końcu drogi było to, co widział.

Wyszedł z namiotu w ciemność Goszen. Gdzieś za nim, w obozie, ktoś kaszłał przez sen, dziecko płakało i uspokajało się w ramionach matki, pies szczekał na coś, czego nie było widać. Zwyczajne, ciężkie, śmiertelne życie, dokładnie takie, jakie zostawił, wracając.

Spojrzał w niebo. Gwiazdy wyglądały teraz inaczej — nie dlatego, że się zmieniły, ale dlatego, że wiedział już, co jest za nimi, warstwa po warstwie, aż po miejsce, którego żadne oko nie mogło oglądać i żyć.

— Jutro znowu pójde do faraona — powiedział cicho do nocy. — I tym razem będę wiedział, po co.



ROZDZIAŁ I — Palec Boży

*Egipt — laska i wąż, krew, żaby, komary; magowie
przegrywają z palcem Boga*

Laska i wąż

Zaczęło się od laski — zanim spadła krew, zanim przyszedł zabójca, zanim Egipt nauczył się bać wschodu słońca.

Baki stał tego ranka pod ścianą sali tronowej, wśród niższych pisarzy, i widział wszystko, choć nikt nie widział jego — bo tak właśnie żyje się długo na dworze: będąc obecnym i niewidocznym zarazem. Zobaczył, jak wchodzi dwaj starcy. Jeden mówił, drugi milczał, i to milczący trzymał laskę.

Faraon patrzył na nich z tym znużeniem, jakie mają władcy wobec petentów, którzy nie rozumieją, że sprawa jest już rozstrzygnięta.

— Uczyńcie znak — powiedział, nie kryjąc drwiny. — Jeśli przysyła was jakiś bóg, niech pokaże coś, czego nie umie byle kuglarz z targu. Zabawcie mnie.

Milczący starzec spojrzał na brata. Mojżesz skinął głową. I Aaron rzucił laskę na posadzkę przed tronem.

Laska nie upadła jak drewno. Wygięła się w powietrzu, zanim jeszcze dotknęła kamienia, a to, co uderzyło o posadzkę, nie było już laską: był to wąż gruby jak ludzkie ramię, który rozwinął się z sykiem, uniósł łeb na wysokość kolana i obrócił się ku tronowi.

Dworzanie cofnęli się falą. Ktoś krzyknął. Faraon nie drgnął — ale Baki, patrząc na jego dłoń zaciśniętą na poręczy, zobaczył, że knykcie pobieleały.

A potem faraon się roześmiał.

— I to wszystko? — powiedział. — Pastuch rzuca kij, a kij się wije? — Klasnął w dłonie. — Wezwać moich mędrców. Zobaczymy, czy bóg pustyni umie coś, czego nie umie Egipt.

Przyszli dwaj. Baki ich znał — znali ich wszyscy: Jannes i Jambres, arcymagowie faraona, w lamparcich skórach, z twarzami ludzi, którzy nie przegrali jeszcze niczego w życiu. Weszli spokojnie, jakby wezwano ich do rzeczy błahej — bo dla nich to była rzecz błaha.

— Widziałeś? — mruknął Jambres do brata, mierząc węża Aarona wzrokiem znawcy. — Stara sztuczka z Górnego Egiptu. Uśpić gada, usztywnić naciskiem na kark, potem obudzić. Umiem to od dziecka.

— Więc rób — powiedział Jannes.

Rzucili laski, obie — i obie stały się węzami; bo tę część bracia umieli naprawdę, a tę, której nie umieli, dorobili ci, którzy stają za takimi jak oni i dokładają do cudzej sztuczki tyle, żeby wyglądała na moc. Dwa węze rozwinęły się na

posadzce obok pierwszego, i sala odetchnęła: a więc Egipt umie to samo. A więc bóg pustyni nie jest lepszy.

Trwało to tyle, ile trwa дума.

Bo wąż Aarona ruszył — nie ku tronowi, lecz ku dwóm pozostałym. Nie walczył z nimi, nie owijał się, nie kąsał. Po prostu otworzył paszczę szerzej, niż paszcza węża otwierać się powinna, i połknął pierwszego w całości, powoli, jak połyka się coś, co już się nie broni. Potem drugiego. Sala patrzyła w ciszy, w której słyszać było tylko ten jeden dźwięk — przełykania — a kiedy było po wszystkim, na posadzce leżał jeden wąż, gruby i syty, i po dwóch pozostałych nie było śladu.

Aaron schylił się, podniósł go za ogon, i w jego dłoni wąż znów zeszywniał w laskę.

Cisza trwała jeszcze chwilę. Potem faraon powiedział — o ćwierć tonu za głośno, a Baki wychwycił to ćwierć tonu, bo trzydzieści lat na dworze uczy słyszeć w głosie władcy to, czego władca nie chce, żeby słyszano:

— Sztuczka lepsza od waszej. Nic więcej. — Machnął ręką. — Wyprowadzić ich.

Jannes i Jambres wyszli z podniesionymi głowami. Ale na dziedzińcu, gdy nikt już nie patrzył, Jambres przystanął.

— Widziałeś, jak on to połknął? — powiedział cicho. — Bez walki. Jakby wiedział z góry, że wygra.

— To był większy wąż — odparł Jannes. — Nic więcej.

— Może — powiedział Jambres. Lecz nie brzmiał, jakby w to wierzył — i był to pierwszy raz, odkąd bracia przybyli do Egiptu, gdy któryś z nich nie brzmiał pewnie.

A w sali tronowej faraon siedział jeszcze długo, patrząc na miejsce, gdzie przed chwilą były trzy węże, a został jeden. I zatwardził serce — po raz pierwszy z wielu, bo serce, jak wszystko, twardnieje najłatwiej za pierwszym razem — i nie wypuścił ludu. To była pierwsza z jego odmów. Każda następna miała go kosztować więcej niż poprzednia; ostatnia miała go kosztować syna.

Krew — rzeka, która umarła

Baki poznawał Nil po zapachu, zanim jeszcze otworzył oczy. Mułu, ryb, wilgotnego sitowia — ten zapach budził go co rano od czterdziestu lat, tak jak budził jego ojca i ojca jego ojca. Tego ranka zapach był inny. Słodkawy. Ciężki. Kiedy wyszedł przed chatę, rzeka była czerwona od brzegu do brzegu, gęsta jak coś, co dopiero co przestało żyć.

Zanurzył czerpak. Wyciągnął go pełny — nie wody, czegoś, co lepiło się do palców i pachniało żelazem. Ryby leżały brzuchami do góry aż po zakręt rzeki, tysiące, dziesiątki tysięcy, i smród ich gnicia rozchodził się szybciej niż poranny wiatr.

Meryt, jego żona, przybiegła z dzbanem, który miała napełnić na później. Stała nad brzegiem i patrzyła długo, zanim się odezwała.

— Studnie — powiedziała tylko.

Kopali przez trzy dni. Woda spod ziemi też cuchnęła, ledwie nadawała się do picia, ale nadawała się. Baki widział, jak sąsiedzi kopią jeszcze głębiej, jak dzieci płaczą z pragnienia, jak starcy, którzy pamiętali suche lata, kręcą głowami, bo to nie było jak susza. Susza była karą znaną. To było coś, co nie miało imienia.

Trzeciego dnia przyszedł Ipi.

Ipi był poborcą — zbierał należność faraona ze zbiorów, mierzył pola sznurem po każdym wylewie, wiedział co do korca, ile komu wyrosło, i brał swoje, i był w tym dokładny jak śmierć. Znał Bakiego od dwudziestu lat i przez dwadzieścia lat nie powiedział mu ani jednego dobrego słowa.

Stanął nad wykopaną studnią, zajrzał w mętną wodę i się skrzywił.

— Woda wodą — powiedział. — Rzeka wróci za tydzień. Zawsze wraca. — Popatrzył na Bakiego z góry, jak zawsze. — A podatek płacisz z tego, co było zasiane przed rzeką, nie z tego, co zostało po. Zapamiętaj sobie.

— Nie ma czym płacić — powiedział Baki. — Ryby zdechły. Woda się nie nadaje.

— To twój problem, nie faraona. — Ipi otrzepał sandał. — Bogowie się pogniewali, bogowie się przebłagają. Zawsze tak było. Kopcie głębiej i płąćcie w terminie.

I poszedł, i Baki patrzył za nim, i myślał, że są dwa rodzaje ludzi na świecie: tacy, którzy pytają, co się dzieje, i tacy, którzy pytają, kto za to zapłaci. Ipi był drugim rodzajem, i przez to spał spokojnie już wtedy, gdy inni przestali sypiać.

W pałacu wieść dotarła inaczej. Senmut, pisarz przy dworze, zapisywał na tabliczce liczby dostaw ryb dla świątyni Hapi, kiedy przybiegł posłaniec. Przez chwilę nikt w komnacie nie zrozumiał, co się stało — dopiero kiedy kapłani Hapi, boga Nilu, wybiegli z hymnem urwanym w połowie zdania, Senmut zrozumiał, że to nie plotka z targu.

Widział, jak najstarszy z nich, człowiek, który czterdzieści lat prowadził poranne obmycia w świątyni na wyspie Elefantyna, stanął nad brzegiem i próbował dokończyć hymn — słowa, które znał lepiej niż własne imię — i nie potrafił. Głos mu się łamał w połowie każdej linijki, jakby gardło samo odmawiało wypowiedzania obietnic, którym rzeka właśnie zaprzeczyła na oczach wszystkich.

Rahotep, Najwyższy Kapłan Re w Heliopolis, przybył do pałacu tego samego popołudnia, wezwany razem z innymi. Nie okazał tego, co czuli kapłani Hapi — jego bóg był większy, dawniejszy, panował nad niebem, nie nad samą tylko rzeką, i Rahotep patrzył na czerwoną wodę z tym samym spokojem, z jakim patrzyłby na kaprys pomniejszego bóstwa, które nie dotyczyło jego świątyni. Zanotował to sobie jako ciekawostkę do rozważenia przez kapłanów niższego stopnia. Nie przyszło mu jeszcze do głowy, że będzie musiał to wspomnienie odgrzebywać za osiem uderzeń, kiedy przyjdzie kolej na jego własnego boga.

Faraon kazał sprowadzić czarowników. Ci zanurzyli swoje laski w wodzie z beczki przyniesionej z pałacowego stawu i wypowiedzieli słowa, które Senmut znał na pamięć z dziecinnych lat w świątynnej szkole — i staw też

poczerwieniał, kropla po kropli, aż cała beczka cuchnęła tak samo jak rzeka.

— Widzicie — powiedział jeden z czarowników, kłaniając się nisko. — I my to potrafimy.

Merenptah patrzył na czerwoną beczkę i na czerwoną rzekę za oknem, i coś w jego twarzy — Senmut to zauważył, bo patrzył na twarz faraona częściej, niż powinien — nie było triumfem. Był to grymas człowieka, który właśnie zobaczył, że jego najlepsza odpowiedź na katastrofę to powiększenie jej o jedną beczkę.

— Serce jego było twarde — zapisał tego wieczoru Senmut, nie do końca wiedząc, dlaczego wybrał akurat te słowa. — I nie posłuchał ich, jak przepowiedział Hapi... jak przepowiedział bóg Hebrajczyków.

W Goszen Nachon zanurzył palec w wodzie ze studni, którą jego rodzina kopała od pokoleń, i nie znalazł w niej czerwieni. Nie była to woda dobra — miała w sobie coś z ciężaru tamtych dni, jakby cała ziemia wstrzymywała oddech — ale nie była krwią. Nie powiedział tego głośno sąsiadom z egipskiej strony rzeki. Nie było w tym nic do świętowania. Był tylko znak, którego nikt jeszcze nie umiał odczytać do końca, a Nachon, wnuk człowieka, który pamiętał Józefa, wiedział z doświadczenia rodu, że znaki,

które przychodzą zbyt wcześnie do odczytania, kończą się zwykle krwią kogoś innego.

Żaby — noc bez snu

Przyszły o zmierzchu, najpierw jako szmer, potem jako fala. Baki zamiótł próg i po godzinie zamiatał go znowu, i po następnej godzinie znowu, aż zrozumiał, że nie ma sensu zamiatać czegoś, co przybywa szybciej niż miotła. Żaby wypełzały z umierającej rzeki tysiącami, potem dziesiątkami tysięcy — w dzbanach z wodą do picia, w piecach chlebowych, pod poduszkami, w fałdach ubrań złożonych na noc. Meryt krzyczała, znajdując je w kołysce syna, chociaż dziecko spało spokojnie, otoczone skrzeczącym, wilgotnym pierścieniem, którego samo nie zauważało.

Tui, sąsiadka od trzech domów, przekupka, która sprzedawała na targu suszone ryby i wiedziała o wszystkim, co się działo na ulicy, wcześniej, niż samo się zdarzyło, przyszła do Meryt boso, z podkasaną szatą, brodząc przez żaby jak przez wodę.

— U ciebie w piecu też? — zapytała.

— W piecu, w dzbanach, w mące — powiedziała Meryt.

— Zagniotłam ciasto rano, odwróciłam się, wróciłam — trzy

w cieście.

— Kapłani mówią, że to Heqet nas błogosławi. — Tui splunęła. — Jak to jest błogosławieństwo, to ja jestem królową Punt. Widziałas, żeby błogosławieństwo wchodziło człowiekowi do garnka?

— Cicho — powiedziała Meryt. — Usłyszają.

— Kto usłyszysz? — Tui rozejrzała się teatralnie po podwórku pełnym skrzeczących żab. — Bogini? Niech słyszy. Niech przyjdzie i sama wyniesie te swoje święte zwierzątka z mojej sypialni, to jej podziękuję.

Baki nie odezwał się. Stał z miotłą i patrzył na sąsiadkę, i myślał, że Tui mówi głośno rzeczy, które on sam bał się pomyśleć cicho — i że ludzie tacy jak ona albo umierają pierwsi, albo przeżywają wszystkich, i nigdy nie wiadomo z góry, którzy.

Nikt w Egipcie nie spał tej nocy. Nie dało się. Chrzęst pod stopami, śliskość na każdej podłodze, dźwięk — miliony małych gardeł naraz — który nie ustawał ani na chwilę.

W pałacu było gorzej, bo pałac miał więcej podłóg do zalania. Kapłani Heqet, bogini o żabiej głowie, patronki porodu i urodzaju, stali w świątyni po kostki w swoich własnych świętych zwierzętach i nie wiedzieli, czy się

kłaniać, czy uciekać. Ich zamęt był czymś więcej niż niedogodnością — Heqet była tą, która tchnęła życie w każde nowo narodzone dziecko w Egipcie, a teraz jej święty symbol wypęzał z umierającej rzeki w liczbie, która nie miała już nic wspólnego z błogosławieństwem. Jeden z młodszych kapłanów, klęcząc w wodzie sięgającej mu do łydek, szeptał do siebie pytanie, którego nie odważył się wypowiedzieć głośno: czy bogini karze Egipt jej własnym imieniem, czy ktoś inny używa jej imienia przeciwko niej, nie pytając jej o zgodę. Żadna z odpowiedzi nie dawała się znieść lepiej niż druga. Czarownicy faraona sprowadzili jeszcze więcej żab, żeby dowieść swojej mocy, i Senmut, wypisując tego dnia doniesienie, po raz pierwszy od lat służby poczuł, że pisze o czymś, co przypomina rozpacz zamaskowaną jako duma.

Merenptah wezwał Mojżesza tej samej nocy — pierwszy raz, odkąd zaczęło się to wszystko, mówił do niego bez pogardy w głosie.

— Módl się do swojego Pana — powiedział, a Senmut, stojący pod ścianą z tabliczką w rękach, usłyszał w tym głosie coś, czego wcześniej tam nie było: proszącą nutę, którą faraon próbował zamaskować tonem rozkazu. — Zabierz je, a wypuszczę wasz lud, żeby złożył ofiarę.

Żaby zniknęły nazajutrz, tak jak przysły — nagle, wszystkie naraz. Zostały tylko stosy martwych ciałek, zgarniane na sterty, które śmierdziały przez tydzień na każdym rogu ulicy, w każdym pałacowym korytarzu. Kenamon odstawił tego dnia wólcznę i wziął łopatę, bo rozkaz brzmiał, że każdy sprawny człowiek przy bramie ma sprzątać, i przez pół dnia wynosił martwe żaby z korytarza prowadzącego do sali tronowej. Żaden z mijających go dostojników nie spojrzał na niego ani razu, i to było jedyne, co mu tego dnia odpowiadało.

A kiedy stosy zniknęły, zniknęła też prośba w głosie faraona. Nachon, który słyszał o tym od egipskiego handlarza przyjeżdżającego do Goszen po len, pokiwał tylko głową.

— Kiedy im lżej, serce twardnieje z powrotem — powiedział do syna. — Zapamiętaj to. To będzie się powtarzać.

Komary — pył, który ożył

Trzecia plaga nie miała w sobie nic z grozy poprzednich dwóch — dopóki człowiek nie spróbował żyć w jej środku. Pył egipskiej ziemi, ten sam pył, który leżał pod stopami od

tysięcy lat, zaczął się poruszać. Nie wiatrem. Sobą. Miliony małych, gryzących owadów wstawały z gleby jak z rozerwanego worka, wpełzały w oczy, w nozdrza, pod powieki bydła i ludzi jednakowo.

Meryt owinęła syna płótnem od stóp do głów mimo upału, żeby uchronić skórę dziecka choć trochę, ale i tak wieczorem chłopiec drapał się do krwi.

Tym razem czarownicy faraona nie potrafili powtórzyć znaku. Senmut widział to na własne oczy — dwaj najstarsi z nich, ci, którzy poprzedniego dnia jeszcze z dumą zamieniali wodę w krew, teraz stali przed swoimi laskami, mamrotali formuły znane od dzieciństwa i nie działało się nic, prócz tego, że sami zaczynali drapać ukąszenia na własnych ramionach.

— Palec Boży to jest — powiedział w końcu Nebwenenef, najstarszy z nich, tak cicho, że Senmut ledwie usłyszał, a jednak to zdanie obiegło cały dwór, zanim minął dzień.

Kenamon usłyszał je na warcie przy bramie i przyszedł z tym do Senmuta wieczorem.

Był młody — dwadzieścia trzy lata, syn dworzanina, oficer straży pałacowej, z tych, których uczono, że porządek trzyma się na włóczniach, a włócznie na rozkazie. Znał Senmuta od dziecka, bo skryba bywał w domu jego ojca, i

przychodził do niego z pytaniami, których nie mógł zadać przełożonym.

— Co znaczy „Palec Boży” — zapytał. — Czyjego boga.

— Nie naszego — powiedział Senmut, nie podnosząc wzroku znad tabliczki.

— To postaw strażę. Zamknij granice. Znajdź tego, kto to robi, i zabij go. — Kenamon mówił szybko, jak człowiek, który wierzy, że na każdy problem jest rozkaz. — Ja bym postawił ludzi przy każdej studni w Goszen do jutra.

Senmut odłożył rylec i popatrzył na chłopaka.

— A gdyby to nie był człowiek — zapytał. — Postawiłbyś włącznie przeciw pyłowi, który sam wstaje z ziemi?

Kenamon otworzył usta i nic nie powiedział.

Wyszedł niespokojny, i Senmut wiedział dlaczego: bo chłopakowi po raz pierwszy w życiu podsunięto pod nos coś, na co nie było rozkazu, a cały jego świat stał na tym, że rozkaz jest zawsze.

Merenptah, kiedy mu to powtórzono, nie odpowiedział nic. Odwrócił się i patrzył przez okno na miasto skręcające się pod chmurą gryzącego pyłu, a Senmut, notując to milczenie tak dokładnie, jak umiał notować słowa, pomyślał,

że widzi twarz człowieka, który zaczyna rozumieć coś, czego jeszcze nie jest gotów przyznać na głos.

Rahotep stał tego dnia w tyle komnaty, dalej niż zwykle stawał, i po raz pierwszy od dziesięcioleci służył czuł coś, czego nie miał słowa, by nazwać — nie strach, jeszcze nie, ale pierwsze pęknięcie w czymś, co przez całe życie uważał za skałę pod stopami. Jeśli to naprawdę był palec obcego boga, a nie sztuczka wędrownego czarownika, to znaczyło, że istnieje moc, której jego własny bóg, władca nieba i słońca, nie potrafił ani powstrzymać, ani nawet nazwać. Rahotep odesłał tę myśl tam, gdzie odsyłał wszystkie myśli, których nie chciał jeszcze nosić — ale zauważył, ile wysiłku kosztowało go tym razem odesłanie jej dalej niż na wyciągnięcie ręki.

W Goszen komary gryzły tak samo jak wszędzie — na tę plagę i na wcześniejsze granica jeszcze nie była wyznaczona, cierpienie było wspólne — a Nachon, drapiąc własne przedramię do krwi, patrzył na to jako na coś, czego jeszcze nie potrafił nazwać ulgą, ale już nie potrafił nazwać zwykłym nieszczęściem.

Sąd nad bogami

Bo plagi nie były tym, czym wydawały się Egipcjowi. Egipt widział rzekę, która szerniała, żaby, robactwo — nieszczęścia, jakie zdarzają się krainom. Nie widział tego, co widziano z góry i z dołu naraz: że każde z tych uderzeń miało adres, i że adresem nie był faraon.

Bo nad każdą rzeczą w Egipcie ktoś stał. Nad Nilem — ten, którego czczono jako dawcę wód, a który w istocie był jednym z tych, co spadli, i przybrał imię boga, żeby przyjmować kadzidło należne komu innemu. Nad płodnością mułu stał drugi. A nad samym prochem ziemi, po którym stąpali wszyscy, stał trzeci. Egipt myślał, że służy bogom. Służył upadłym, którzy dawno weszli w miejsce bogów, jak lokator wchodzi w pusty dom i zaczyna pobierać czynsz.

I oto pierwsze uderzenie spadło nie na wodę — na tego, który za wodą stał. Nil szerniał, a ten, co brał kadzidło jako pan rzeki, poczuł, jak kadzidło ustaje, jak jego imię przestaje znaczyć, jak lud, który przez tysiąc lat kłaniał mu się nad brzegiem, odwraca się od brzegu z obrzydzeniem. Drugie uderzenie zabrało drugiego. Trzecie — trzeciego. Jeden po drugim bogowie Egiptu, którzy nie byli bogami, tracili to, z czego żyli: strach i cześć.

Mastema patrzył na to z miejsca, z którego patrzył na wszystko — z boku, jak sędzia, który jeszcze nie wie, po

której stronie zarobi. Samael patrzył inaczej: z wściekłością, bo to jego własni bracia tracili tam, na dole, swoje ołtarze.

— Powstrzymaj to — powiedział Samael. — To są nasi. Egipt jest nasz od czterystu lat.

— Egipt był wasz — poprawił go Mastema — dopóki nikt się nie upomniał. Ktoś się upomniał. — Wskazał w dół, na dwie postacie idące przez pałac faraona: starca z laską i jego brata. — On. A raczej Ten, który za nim stoi. I to jest sąd, Samaelu. Nie plaga. Sąd. Nad każdym bogiem Egiptu Bóg wydaje ten sam wyrok: *nie jesteś*.

Wysoko, tam gdzie stoją ci, co nie spadli, Michał nie mówił nic. Nie targował się jak Mastema ani nie wściekał jak Samael. Michał tylko liczył uderzenia — i znał ich liczbę, zanim spadły, bo znał wyrok, zanim go wykonano. Wiedział też coś, czego tamci dwaj jeszcze nie chcieli przyjąć: że po bogach Egiptu przyjdzie kolej na coś większego niż Egipt, i że brama, którą sami dla siebie zatrzasnęli, wypadając kiedyś z góry, właśnie zaczyna się otwierać z powrotem — w dół, ku prochowi, ku ludziom.

Na dole, w tej samej chwili, dwaj magowie faraona rzucili laski w pył, żeby powtórzyć trzecią plagę — jak powtórzyli dwie pierwsze. I po raz pierwszy pył nie posłuchał.

Dwaj, którzy przegrali

Tej nocy dwaj magowie faraona nie spali.

Siedzieli w swojej komnacie, we dwóch, przy jednej lampie, a między nimi leżały dwie laski, którymi rano nie zdołali zrobić nic — dwa kawałki martwego drewna, choć jeszcze trzy dni wcześniej robiły się węzami na skinienie.

— Powtórzyłem krew — odezwał się Jannes, starszy, i mówił nie do brata, lecz do lampy, bo do brata nie umiał. — Powtórzyłem żaby. Widziałeś. Faraon widział. Cały dwór widział, że my też potrafimy.

— Powtórzyłeś sztuczki — powiedział Jambres. — Krew da się zrobić. Żabę da się przywołać. To rzemiosło. Ale dziś rzuciłem laskę w pył i kazałem pyłowi ożyć, jego słowami, co do jednego — i pył się nie ruszył. — Podniósł głowę. — Wiesz, co to znaczy?

Jannes nie odpowiedział, bo wiedział, a nie chciał tego powiedzieć głośno, bo rzeczy wypowiedziane głośno stają się prawdziwe.

— To znaczy — dokończył za niego Jambres — że to nie jest nasze rzemiosło. Że to w ogóle nie jest rzemiosło. Za tym starcem z laską nie stoi żaden bóg, jakiego znamy, żadna moc, którą można kupić, uprosić albo zmusić. Stoi

coś, co robi z pyłu żywe stworzenie samym słowem — tak jak na początku. Powiedziałem faraonowi w twarz: „to palec Boży”. Powiedziałem to, żeby się wykręcić. Ale, bracie... to była prawda. Pierwszy raz w życiu skłamałem, mówiąc prawdę.

Długo milczeli.

— Ojciec — powiedział wreszcie Jannes.

— Wiem.

— Ojciec musi to wiedzieć. Bileam z Petor, największy widzący od Morza do Morza, musi wiedzieć, że jest na świecie ktoś, kto umie to, czego on nie umie. Że ktoś dorównał ojcu. Albo... — Jannes nie dokończył.

— Albo go przerósł — dokończył Jambres, i to zdanie zawisło w komnacie jak zapach, którego nie da się wywietrzyć. Bo obaj wychowali się w przekonaniu, że nad ich ojcem nie ma nikogo — że Bileam jest szczytem, a dalej jest już tylko niebo. A dziś zobaczyli, że niebo zeszło na dół i chodzi po Egipcie w sandałach pasterza.

— Jedźmy do niego — powiedział Jannes. — Dziś w nocy.

— Nie dziś. — Jambres pokręcił głową. — Faraon nie wypuści swoich magów w środku wojny z bogiem; uzna to za zdradę i pośle za nami rydwany. A poza tym... — spojrzał

w okno, ku Goszen, gdzie w ciemności paliły się ogniska niewolników. — Poza tym chcę zobaczyć, jak to się skończy. Chcę wiedzieć, co powiem ojcu: że przegraliśmy jedną plagę, czy że przegrał cały Egipt. Bo to nie to samo, a ojciec nie płaci za połowę wiedzy.

Jannes skinął głową. I tak postanowili: zostać do końca, cokolwiek ten koniec przyniesie, a potem — kiedy Egipt puści albo padnie — ruszyć na wschód, do Petor, do ojca, z wieścią, której żaden z nich nie chciał nieść, a którą obaj musieli ponieść. Że stał się cud. Że jest drugi. Że nad Bileamem, synem Beora, po raz pierwszy położył się cień kogoś większego — i że cień ten miał się rozciągnąć na całą resztę ich życia.



ROZDZIAŁ II — Noc pierworodnych

*Egipt — od much do ciemności; krzyk o północy i znak na
drzwiach*

Muchy — granica

Czwarta plaga przyniosła coś, czego żadna z poprzednich nie przyniosła: linię na ziemi, której nikt nie narysował ręką.

Muchy przyszły chmurami gęstymi jak dym, wypełniając domy, żywność, powietrze, którym oddychano, aż ludzie krztusili się, otwierając usta do krzyku. Baki zabijał je setkami na ścianach swojej chaty i widział, jak przez otwarte drzwi wlatują nowe, zanim zdążył zamknąć rękę na tych zabitych.

A jednak — i to Baki usłyszał od handlarza, który wracał z Goszen z niedowierzaniem malującym się na twarzy — tam much nie było. Ani jednej. Jakby ktoś ręką przeciągnął po mapie kraju linię, po jednej stronie której obowiązywały inne prawa niż po drugiej.

Tui przyszła z tą wieścią wcześniej niż handlarz, bo Tui wszystko wiedziała wcześniej.

— U Hebrajczyków czysto — powiedziała, machając ścierką na muchy, które i tak siadały z powrotem. — Ani jednej muchy. Byłam wczoraj z rybami na targu przy

granicy, widziałam na własne oczy. Oni siedzą i jedzą na dworze, jak ludzie, a my tu w domu oddychać nie możemy.

— Może kłamią — powiedział Baki, bo chciał, żeby kłamali.

— Kłamią much, których nie ma? — Tui zaśmiała się krótko, bez wesołości. — Baki, ja przez dwadzieścia lat sprzedaję ryby i wiem jedno: kiedy jednym schnie towar, a drugim nie, to nie bogowie. To ktoś liczy. Ktoś tu robi porządek i wie dokładnie, po której stronie kogo postawić.

Tym razem się nie roześmiała po swoich słowach, i Baki to zauważył, bo Tui śmiała się zawsze, nawet ze złych rzeczy — a teraz stała ze ścierką w ręku i patrzyła w stronę Goszen, i pierwszy raz, odkąd ją znał, nie miała nic więcej do powiedzenia.

W pałacu wiadomość o tej granicy uderzyła mocniej niż same muchy. Senmut widział, jak kapłani naradzają się w korytarzach, twarze poszarzałe, bo to, co się działo, przestawało być klęską żywiołową, którą można było przypisać kapryswi rzeki czy pory roku. To było wybieranie — i to, kogo oszczędzano, mówiło równie wiele co to, kogo karano.

Rahotep rozumiał lepiej niż inni, co oznacza granica narysowana ręką, której nikt nie widział. Bogowie Egiptu,

jakich znał, władali żywiołami — Nilem, słońcem, wiatrem, ziarnem — i żywioł nie wybiera, komu szkodzi, tak jak ogień nie pyta, czyj dom podpala. Ale to, co widział teraz, nie było żywiołem. Było wolą, świadomą, celującą dokładnie tam, gdzie chciała celować, i omijającą dokładnie to, co chciała ominąć. Bóg, który wybiera, jest bogiem, z którym można się targować, ale jest też bogiem, przed którym nie da się ukryć za murem świątyni, bo mur nie jest dla niego przeszkodą większą niż granica pola. Tej nocy Rahotep, po raz pierwszy, odkąd przywdział szaty kapłańskie, modlił się dłużej, niż nakazywał rytuał, i nie był pewien, czy Re go słyszy.

Merenptah wezwał Mojżesza po raz drugi.

— Idźcie, złożcie ofiarę waszemu Bogu — powiedział — ale w tym kraju.

— To niemożliwe — usłyszał Senmut odpowiedź Mojżesza, spokojną, bez cienia triumfu, co uderzyło go bardziej, niż uderzyłby triumf. — Egipcjanie obrzydzą sobie widok tego, co składamy w ofierze. Musimy odejść na trzy dni drogi na pustynię.

Faraon zgodził się, kiedy muchy jeszcze krążyły nad jego głową, i cofnął zgodę, kiedy zniknęły — Senmut zapisał to zdarzenie dwa razy tego samego dnia, raz z nadzieją, raz z

rezygnacją, i po latach służby przy dworze uczył się już nie dziwić, że oba zapisy dotyczyły tego samego człowieka.

Nachon, stojąc na granicy Goszen, patrzył na czarną chmurę wiszącą nad polami egipskich sąsiadów i po raz pierwszy od tygodni pozwolił sobie na coś, co nie było jeszcze radością, ale już nie było też strachem.

— Rozdziela nas od nich — powiedział do żony. — Nie dlatego, że jesteśmy lepsi. Dlatego, że musi być widać, kto to robi.

Odesłanie

Powiedział jej to nocą, między jedną plagą a drugą, kiedy Goszen spał, a od strony Egiptu nie dochodził już żaden dźwięk prócz tego cichego, gęstego, który wydaje kraj bojący się jutra.

— Chcę, żebyś zabrała chłopców i wróciła do ojca. Do Midianu. Zanim wyruszymy.

Sefora nie odpowiedziała od razu. Siedziała przy lampie, z dłońmi na kolanach — te same dłonie, którymi kiedyś przy studni podała wodę obcemu zbiegowi z Egiptu — i patrzyła na niego długo, zanim powiedziała jedno słowo:

— Nie.

— Seforo...

— Przyjechałam z tobą do Egiptu — powiedziała, i głos miała spokojny, co u niej znaczyło, że jest bliżej gniewu, niż gdyby krzyczała. — Spakowałam dom, wsadziłam synów na osła, przejechałam pustynię, którą ty przejechałeś w drugą stronę uciekając, i nie zapytałam „po co”, bo żona pyta „dokąd”, nie „po co”. A teraz, kiedy się zaczęło, kiedy jest naprawdę — odsyłasz mnie. Jak się odsyła sprzęt, który przeszkadza w robocie.

— Nie jak sprzęt.

— Więc jak?

Mожesz usiadł naprzeciw niej, powoli, bo nogi już go tak nie słuchały jak kiedyś w Midianie, gdy biegał za owcami po zboczach.

— Posłuchaj, jak to będzie wyglądało — powiedział. — Nie wyjdzie stąd rodzina. Wyjdzie naród. Setki tysięcy ludzi, starcy, niemowlęta, bydło, chorzy, ci, co ledwo chodzą. Pójdziemy wolno, bo najwolniejszy narzuca tempo wszystkim. Przez pustynię, w której nie ma wody na tyłu, w upale, który zabija słabych pierwszego dnia. A za nami — jeśli znam faraona, a znam go — pójdą rydwany. Ja nie wiem, czy my to przeżyjemy. Nie wiem, Seforo. I nie chcę

patrzeć, jak Gerszom i Eliezer umierają z pragnienia dlatego, że ich ojciec musiał wyprowadzić cudzy lud.

— To jest twój lud.

— Teraz tak. — Powiedział to ciszej. — I to jest właśnie to, czego się boję.

Milczeli chwilę. Za ścianą namiotu ktoś przeszedł z pochodnią; cień przesunął się po płótnie i zniknął.

— Pójdziemy i tak w stronę Midianu — podjął. — Góra, do której mnie posłał, ta sama, przy której mnie znalazł, leży niedaleko ziemi twojego ojca. Nie odsyłam cię od siebie na zawsze. Odsyłam cię przodem — bezpieczną drogą, z chłopcami, do domu, w którym cię kochają — żebyś tam czekała, aż my dojdziemy. Jetro cię przywiezie do mnie pod górę. Przysięgam.

To była dobra mowa. Rozsądna. Sefora wysłuchiwała jej do końca i pokręciła głową, bo wiedziała o mężu jedną rzecz, której on sam o sobie nie wiedział: że kiedy Mojżesz mówi rozsądnie i długo, to znaczy, że prawdziwego powodu jeszcze nie powiedział.

— To nie o wodę chodzi — powiedziała. — I nie o rydwany. Powiedz prawdę. Nie mnie odsyłasz. Odsyłasz świadka.

Mojżesz nie odpowiedział, i to milczenie było odpowiedzią.

Bo Sefora nazwała to, czego on nie umiał nazwać sam. Patrzyła na niego od tygodni — na męża, którego poznała jako jakaś pasącego cudze owce, człowieka tak zwyczajnego, że aż bezpiecznego — i widziała, jak z tygodnia na tydzień robi się w nim coraz mniej tego człowieka. Widziała, jak podnosi laskę i rzeka staje się krwią. Jak mówi, a niebo słucha. Jak wraca z rozmowy z Bogiem i przez pół dnia nie umie spojrzeć jej w oczy, jakby jego oczy były jeszcze pełne czegoś, na co ludzkie oko nie powinno patrzeć. I zaczęła się bać — nie jego; nigdy jego. Bać się, że pewnego ranka obudzi się obok kogoś, kto już nie jest jej mężem. Że mężczyzna, którego kochała, rozpuszcza się powoli w narzędziu, a ona patrzy na to i nic nie może zrobić.

— Ja już nie wiem, kim ty jesteś — powiedziała wreszcie, i pierwszy raz tej nocy głos jej zadrżał. — Kiedy się kładziesz obok mnie, leżę i nie wiem, czy leży przy mnie mój mąż, czy człowiek, przez którego przechodzi coś, co mnie spali, jeśli go dotknę w złej chwili. Czasem patrzę na ciebie śpiącego i myślę: to jeszcze on. A czasem patrzę i myślę: to już nie człowiek. To coś, co ma jego twarz. —

Otarła oczy grzbietem dłoni, ze złością na własne łzy. — I ty to wiesz. Dlatego mnie odsyłasz. Nie żebym była bezpieczna. Żebym cię zapamiętała takim, jaki byłeś, zanim się skończysz.

Mojżesz długo nie mógł nic powiedzieć. A kiedy się odezwał, powiedział rzecz, której nie powiedział nikomu innemu w życiu — ani Aaronowi, ani Bogu, ani sobie samemu na głos.

— Ja też nie wiem, kim jestem — powiedział. — Boję się tego bardziej niż faraona i bardziej niż pustyni. Bo z faraonem umiem walczyć, a z tym, co się ze mną dzieje, nie umiem. Każdego dnia ubywa mnie, a przybywa tego drugiego, i nie wiem, kiedy się to zatrzyma, ani czy się zatrzyma, ani czy na końcu zostanie jeszcze ktoś, kto pamięta, że pasł owce i kochał kobietę przy studni. — Spojrzał na nią. — I dlatego masz rację. Odsyłam cię, żeby przy tobie została wolna częśćka mnie, ta, która jest jeszcze twoja. Bo jeśli zostaniesz i będziesz patrzeć, jak znikam dzień po dniu, to stracimy oboje: ty męża, a ja — ostatnie miejsce, w którym jestem jeszcze człowiekiem. A tak przynajmniej gdzieś, w Midianie, u twojego ojca, będzie żył człowiek, który pasł owce i miał żonę i dwóch synów. Nawet

jeśli tu, na tej pustyni, zostanie już tylko ręka, przez którą przechodzi sąd.

Sefora nie odpowiedziała. Podeszła i usiadła obok niego — nie naprzeciw, obok — i oparła głowę na jego ramieniu, ostrożnie, jakby sprawdzała, czy ramię jeszcze parzy. Nie parzyło. Tej nocy był jeszcze mężem.

Wyjechała trzy dni później, o świcie, z Gerszomem i Eliezerem, na dwóch osłach, drogą na wschód, ku Midianowi. Mojżesz odprowadził ją poza granicę Goszen i stał, patrząc, jak trzy postacie robią się coraz mniejsze na tle wschodzącego słońca, aż zostały punktem, a potem nie zostało nic. I stał jeszcze długo po tym, jak zniknęły, bo wiedział, że odprawił nie tylko żonę i synów — odprawił ostatni dzień, w którym był po prostu człowiekiem, który ma dom.

Wrócił do obozu, do plag, do laski, do faraona. I nikt nie zauważył, że wódz, który tego ranka wrócił zza granicy Goszen, był o coś mniejszy niż ten, który tam rano poszedł — bo rzeczy, które tracimy naprawdę, tracimy zawsze po cichu, i nikt ich nie liczy prócz nas.

Zaraza bydła — padłe stada

Piąta plaga przyszła cicho, bez chmur, bez smrodu unoszącego się nad miastem — przyszła w oborach, jednej nocy, i rano Baki znalazł swoją jedyną krowę leżącą na boku, oczy otwarte, boki już sztywne.

W całym Egipcie te same poranki. Konie w stajniach ksiąząt, osły przy studniach, wielbłądy karawan, owce i kozy pasterzy — wszystko, co miało kopyta i oddychało egipskim powietrzem, padało jednej nocy, jakby śmierć przeszła przez kraj z listą imion i żadnego nie pominęła.

Prócz Goszen. Znowu.

Senmut sam pojechał sprawdzić, bo faraon nie wierzył doniesieniom, i zobaczył na własne oczy: po egipskiej stronie granicy padłe zwierzęta ciągnięte na stosy przez płaczących chłopów, po hebrajskiej — stada pasące się spokojnie, jakby nic się nie stało, jakby cała ta noc śmierci ominęła je szerokim łukiem.

Wrócił do pałacu i powiedział prawdę, bo kłamstwo nie miało już sensu przy tylu świadkach.

Merenptah wysłuchał go w milczeniu, które trwało dłużej niż zwykle. Kapłani Apisa, świętego byka, którego wcielenie boskości karmiono lepiej niż niejednego chłopca, stali w świątyni przy pustym boksie — ich bóg, ich żywy bóg, leżał

martwy jak każde inne bydło w Egipcie, i nie było formuły, która mogłaby to odwrócić.

Najstarszy z nich, kapłan, który osobiście namaścił obecnego Apisa jako cielę, rozpoznane po świętych znakach na sierści, klęczał przy zwłokach i nie płakał, bo płacz zakładał, że można było się tego spodziewać, a on nie potrafił jeszcze pojąć, jak w ogóle mogło się to zdarzyć. Cała jego wiara opierała się na jednym pewniku: że bóg wcielony w zwierzę umiera tylko wtedy, kiedy nowe wcielenie jest już gotowe go zastąpić, w ciągłym, niekończącym się łańcuchu boskości przechodzącej z ciała w ciało. Ten Apis umarł bez następcy, bez znaku, bez ostrzeżenia — umarł tak, jak umiera zwykłe bydło, kiedy przyjdzie na nie pomór. Kapłan siedział w oborze do zmierzchu, próbując znaleźć w tej śmierci jakiegokolwiek znaczenie, i nie znalazł nic prócz zapachu, jaki zostawia po sobie każde martwe zwierzę, bez różnicy, boskie czy nie.

— Serce jego było ciężkie od uporu — zapisał Senmut, i tym razem nie zastanawiał się, dlaczego wybiera te słowa. Wiedział już, że będzie je pisał jeszcze wiele razy, zanim ta historia się skończy.

Wrzody — skóra kapłanów

Szósta plaga uderzyła w to, co Egipcjanin cenił najbardziej po życiu samym — w czystość ciała, w skórę namaszczoneą olejkami, w rytuał obmywania się, którym kapłani zaczęli i kończyli każdy dzień.

Sadzę z pieca Mojżesz rzucił w niebo garścią na oczach dworu — Senmut widział to sam, stał wystarczająco blisko, żeby zapamiętać, jak popiół uniósł się i rozproszył zwyczajnie, bez żadnego znaku, a mimo to nazajutrz każdy Egipcjanin, od żebraka po kapłana najwyższego stopnia, obudził się z wrzodami pokrywającymi ciało od stóp do głów.

W pałacu czarownicy, którzy jeszcze przy trzeciej pladze próbowali dorównać mocy Mojżesza, teraz nie mogli nawet stanąć przed faraonem — wrzody pokryły ich od stóp do głów tak samo jak wszystkich, może dotkliwiej, bo skóra kapłanów, namaszczana i pielęgnowana bardziej niż skóra zwykłych ludzi, cierpiała teraz podwójnie za tę samą pielęgnację.

Kenamon nie mógł utrzymać włóczni — dłoni miał pokrytą wrzodami tak, że drzewce parzyło przy każdym chwycie. Stał oparty o mur, a kiedy Senmut przechodził, zatrzymał go, tym razem nie po to, żeby pytać, lecz żeby powiedzieć.

— Najgorszy nie jest ból — powiedział cicho. — Najgorsze jest to, że stoję na warcie przy bramie, a wróg i tak nie wejdzie bramą. Wróg jest już w środku, w mojej skórze, i moja włócznia nic mu nie robi. Uczyli mnie, że dopóki stoją ludzie z włóczniami przy bramach, świat trzyma się na miejscu. — Podniósł rękę pokrytą ranami. — A tego czym mam pilnować?

Senmut nie odpowiedział — nauczył się już nie dawać odpowiedzi, których nie miał. Zapisał tylko tego wieczoru, na osobnej tabliczce, że widział oficera, który pojął, iż są rzeczy, których włócznią nie upilnujesz, i że dla takiego człowieka to gorsze niż wrzody.

Merenptah, sam pokryty wrzodami, których żaden olejek pałacowy nie łagodził, patrzył na swój dwór klęczący w bólu i po raz pierwszy — Senmut to zauważył, notując drżącą ręką, bo i jego dłoń pokrywały rany — nie powiedział nic o bogach Egiptu. Milczał, a milczenie to było głośniejsze niż każda z jego wcześniejszych przechwałek.

Dla Rahotepa ta plaga uderzyła głębiej niż w skórę. Kapłan nieczysty ciałem nie mógł wejść do sanktuarium — to było prawo starsze niż jakikolwiek faraon, prawo, które sam recytował nowicjuszom od lat. Stał teraz przed drzwiami świątyni Re, do której nie miał wstępu we

własnym, ropiejącym ciele, i po raz pierwszy zadał sobie pytanie, którego nie potrafił już odesłać dalej niż na wyciągnięcie ręki: czy jego bóg w ogóle jeszcze wie, że stoi na progu. Czy Re widzi go stąd, gdzie mieszka, wysoko nad chmurami, czy też — myśl przyszła cicho, jak złodziej — czy w ogóle jest ktoś, kto patrzy, prócz tego, kto właśnie pokrył całą ziemię egipską ranami jednej nocy, bez wyjątku dla kapłanów.

Ręka, usta i oczy

Egipt liczył plagi po tym, co tracił. Trzej ludzie w Goszen liczyli je inaczej — po tym, co za każdą z nich musieli w sobie zabić, żeby unieść następną.

Spotykali się nocą, we troje, w namiocie Mojżesza, kiedy obóz spał, a znad Nilu nie dochodził już żaden dźwięk prócz tego, którego nie da się nazwać: dźwięku kraju, który cierpi i nie rozumie za co. Mojżesz, Aaron i Miriam. Ręka, usta i oczy jednego dzieła — bo tak się podzielili, nie umawiając się nigdy: Mojżesz nosił łaskę i ciężar, Aaron nosił słowa, których Mojżesz nie umiał wypowiedzieć przed faraonem, a Miriam nosiła to, czego dwaj bracia woleli nie widzieć.

— Jutro? — zapytał Aaron. Zawsze pytał on, bo Mojżesz po rozmowie z Głosem długo nie mógł mówić, jakby słowa Boga wypalały mu na jakiś czas własne.

— Jutro niebo — powiedział w końcu Mojżesz. — Grad z ogniem w środku. Taki, jakiego Egipt nie widział, odkąd stał się narodem.

Miriam podniosła głowę.

— Niebo — powtórzyła. — Czyli Nut. Ich pani nieba, ta, którą malują wygiętą nad światem jak łuk, połykającą wieczorem słońce i rodzącą je rano. — Uśmiechnęła się, ale nie było w tym uśmiechu wesołości. — On idzie po nich po kolei, prawda? Nie po Egipcie. Po ich bogach.

Mojżesz skinął głową, i to on tym razem powtórzył słowa, które usłyszał — powtórzył je tak, jak się powtarza rzecz zbyt wielką, żeby ją zatrzymać dla siebie:

— Powiedział: „Nie walczę z Egiptem. Egipt jest tylko domem. Walczę z tymi, którzy weszli w ten dom i kazali się nazywać bogami.” Rzeka była pierwsza — bo nad rzeką stał jeden z nich. Płodność mułu — drugi. Bydło, wrzody, każda plaga zdejmuje jednego z półki, na której Egipt ustawił sobie niebo. Żeby na końcu, kiedy zabraknie ostatniego, Egipt spojrzał na pustą półkę i zapytał sam siebie: komu ja się właściwie kłaniałem.

— A słońce? — spytał Aaron cicho. — Bo jeśli idzie po kolei, to na końcu przyjdzie po słońce. Po Re. A po Re jest już tylko jedno.

— Pierworodni — powiedział Mojżesz, i w namiocie zapadła cisza, w której słyszeć było, jak dogasa oliwa w lampie.

Bo to była prawda, której żaden z nich nie chciał wypowiedzieć pierwszy: że ta droga ma koniec, i że koniec nie jest z rzeki ani z żab, lecz z dzieci. Że zanim Egipt puści, będzie musiał zapłacić tym, czego nie oddaje żaden naród dobrowolnie.

— Ja tego nie chciałem — powiedział Mojżesz, i nie było w tym skargi, tylko stwierdzenie, jak mówi się o pogodzie. — Prosiłem Go o inne życie. Pasłem owce. Miałem żonę, syna, teścia, który mnie lubił. Powiedziałem Mu przy krzewie pięć razy „nie” — i pięć razy przegrałem. — Spojrzał na własną prawą dłoń, tę, w której trzymał laskę. — A teraz przez tę rękę przechodzi coś, przed czym cały Egipt pada na kolana. I najgorsze jest to, Aaronie, że kiedy podnoszę tę rękę, nie czuję już nic. Podniosłem ją nad rzeką i myślałem, że umrę ze zgrozy. Podnoszę ją teraz i myślę o tym, czy starczy nam oliwy do rana. Człowiek do

wszystkiego przywyka. Nawet do bycia ręką, przez którą idzie sąd.

Miriam nie odezwała się długo. Ona nie nosiła laski i nie mówiła do faraona; ona chodziła między namioty Goszen i słuchała, a przez granicę, której plaga już nie przekraczała, docierało do niej i to, co działo się po drugiej stronie.

— Jest w mieście kobieta — powiedziała wreszcie. — Nie znam jej imienia. Straciła syna przy wrzodach — nie pierworodnego, po prostu syna, chłopiec miał gorączkę i wrzody weszły mu do gardła. Ta kobieta nigdy nie tknęła żadnego z nas. Nie ona nas gnębiła. Nie ona kazała topić nasze dzieci. A jej syn nie żyje, bo my chcieliśmy wyjść. — Podniosła oczy na braci. — Nie mówię, że mamy przestać. Wiem, że nie możemy przestać. Mówię tylko, że ktoś powinien to widzieć. Że jeśli obaj przestaniecie czuć — bo ty przestałeś, Mojżeszu, sam powiedziałeś — to niech chociaż jedno z nas patrzy na to otwartymi oczami i nie kłamie sobie, że wszyscy, którzy giną po tamtej stronie, na to zasłużyli. Bo nie zasłużyli. Cierpią, bo tak toczy się wojna między Bogiem a bogami — a między młotem a kowadłem zawsze leży ktoś, kto nie prosił, żeby go tam położono.

— Więc po co Bóg tak robi? — zapytał Aaron. — Skoro cierpi niewinny? Nie mógłby po prostu otworzyć bramy i

nas wypuścić?

— Mógłby — powiedział Mojżesz. — Otworzyłby bramę pierwszej nocy i bylibyśmy wolni, i nikt by nie zginął. Ale wyszlibyśmy jak zbiegli niewolnicy, którzy uciekli, bo strażnik zasnął. A On nie chce, żebyśmy wyszli jak zbiegowie. Chce, żebyśmy wyszli jako lud, którego sam największy bóg świata musiał w końcu błagać, żeby sobie poszedł. Bo niewolnik, który uciekł, całe życie ogląda się przez ramię. A lud, który wyszedł, bo Egipt sam go wyprosił — ten już nigdy nie będzie niczym niewolnikiem. — Zamilkł. — To kosztuje. Miriam ma rację. Kosztuje więcej, niż ktokolwiek z nas będzie umiał kiedyś udźwignąć. Ale za to płaci się raz, a wolność zostaje na pokolenia.

Aaron milczał chwilę, a potem powiedział rzecz, której nie planował — wyszła z niego sama, jak wychodzą rzeczy noszone zbyt długo.

— Ty Go słyszysz — powiedział cicho, do brata. — Ty. A ja słyszę tylko ciebie. Stoję przed faraonem i powtarzam słowa, których sam nigdy nie usłyszałem — jestem ustami, które mówią to, co dotarło do cudzego ucha. — Nie było w tym skargi, było coś smutniejszego, bo do skargi trzeba wierzyć, że mogło być inaczej, a Aaron nie wierzył. — Nie żałuję; ktoś musi być ustami, a ty się jąkasz. Ale czasem

myślę, że przez całe życie będę mówił w imieniu Kogoś, kogo nie usłyszę na własne uszy. Że będę głosem — a nigdy uchem.

Mojżesz spojrział na brata i nie powiedział „nieprawda”, bo to byłaby nieprawda.

— Nie wiem, czy to lepiej, czy gorzej, Aaronie — odparł.
— Ucho, które raz usłyszało ten Głos, już nigdy nie zazna ciszy. Ty przynajmniej możesz odłożyć słowa wieczorem i zasnąć. Ja nie mogę odłożyć tego, co słyszę.

Oliwa dogasła. Siedzieli jeszcze chwilę w ciemności, troje starych już ludzi, którym Bóg powierzył rozbicie największego królestwa świata i którzy tej nocy, jak każdej, byli po prostu zmęczeni.

— Jutro niebo — powiedział wreszcie Aaron, wstając. — Powiem faraonowi to, co mi każesz.

— A ja będę patrzeć — powiedziała Miriam.

Mojżesz nie powiedział nic. Spojrział tylko na swoją prawą rękę, jak patrzy się na narzędzie, które przestało być twoje — i poszedł spać, żeby rano ją podnieść.

Grad — ogień w lodzie

Siódma plaga przyszła z nieba, którego Egipt nigdy takim nie widział — poczerniałego, dudniącego, obcego niebu, jakie znali kapłani Re, boga słońca, którego świątynie stały w każdym mieście od Memfis po Teby.

Grad spadł z ogniem w środku, lód i płomień naraz, gradziny wielkości pięści rozbijające dachy, łamiące drzewa, zabijające wszystko, co zostało jeszcze na polach po poprzednich plagach — a Baki, który zdążył już stracić krowę i połowę zdrowia na wrzodach, patrzył teraz, jak grad rozbija resztki jego lnu, ostatniego, co mu zostało do sprzedania przed żniwami.

W Heliopolis Rahotep stał na dziedzińcu świątyni Re o godzinie, o której od czterdziestu lat zaczynał hymn na powitanie wschodzącego słońca, i nie było czego witać. Niebo nad jego głową było czarne od chmur gęstszych niż jakakolwiek burza piaskowa, przeszywane błyskawicami, które nie miały nic wspólnego z łagodnym, złotym blaskiem, jaki od dziecka nazywał obliczem swojego boga. Zaczął hymn mimo to, głosem, który sam słyszał jako obcy, drżący, i przerwał w połowie, bo zrozumiał nagle, że recytuje powitanie do pustego nieba. Jeśli Re nie mógł nawet wzejść nad własnym miastem, nad własną świątynią, nad kapłanem, który służył mu każdego ranka bez jednej opuszczonej

modlitwy — to, czym była cała reszta, cała architektura wieczności, którą Rahotep budował w sobie przez całe życie?

Ci z egipskich sług faraona, którzy usłyszeli ostrzeżenie Mojżesza dzień wcześniej i zapędzili bydło pod dach, ocalili je. Ci, którzy się roześmiali, patrząc na prorocstwo pasterza z pustyni, patrzyli teraz na własne martwe stada leżące pod niebem, z którego wciąż spadał lód.

Ipi przyszedł do Bakiego, kiedy grad ustał.

Nie po podatek. Przyszedł, bo nie miał dokąd pójść — jego własny dom stracił dach, a Baki miał jeszcze pół dachu, i Ipi, poborca, który przez dwadzieścia lat nie powiedział mu dobrego słowa, stanął w drzwiach mokry, siwy od gradu topniejącego mu we włosach, i nie wiedział, jak zacząć.

— Mówiłeś, że rzeka zawsze wraca — powiedział Baki. Bez złośliwości. Po prostu.

Ipi usiadł na progu. Długo nic nie mówił.

— Liczyłem pola przez dwadzieścia lat — odezwał się w końcu. — Wiesz, ile razy się pomyliłem? Nigdy. Sznur, znak, korzec, podatek. Wszystko się zgadzało zawsze. — Popatrzył na własne ręce. — A teraz liczę i nie wychodzi nic, bo nie ma czego liczyć. Nie ma pól. Nie ma zboża. Nie ma bydła. Zostały same liczby, i wszystkie są zerami.

— To co teraz — zapytał Baki.

— Nie wiem — powiedział Ipi, i to były dwa słowa, których Baki nie usłyszał od niego przez dwadzieścia lat, i które teraz wyszły z niego tak łatwo, jakby przez cały ten czas czekały tuż pod skórą, aż coś złamie to, co je trzymało.

Siedzieli razem na progu, poborca i ten, z którego poborca ściągał, i patrzyli na topniejący grad, i pierwszy raz w życiu nie dzieliło ich nic prócz tego, że jeden miał jeszcze pół dachu, a drugi nie miał żadnego.

Senmut zapędził swoją rodzinę pod dach, bo usłyszał ostrzeżenie od sługi, który usłyszał je od sługi Mojżesza, i przez to jedno posłuszeństwo przeżył to, czego wielu możliwych przy dworze nie przeżyło — nie życiem, ale majątkiem, bydłem, dachami nad głowami.

Merenptah wezwał Mojżesza i Aarona w środku burzy, deszcz ognia i lodu bijący w dach pałacu tak głośno, że musieli krzyczeć, żeby się usłyszeć.

— Zgrzeszyłem tym razem — powiedział faraon, a Senmut, notując to zdanie, pomyślał, że słyszy je pierwszy raz naprawdę, nie jako grzeczność wobec chwili, ale jako coś wyrwanego z człowieka, który zaczyna się bać, że jego kraj się kończy. — Pan jest sprawiedliwy, a ja i mój lud jesteśmy winni.

W Goszen nie spadł ani jeden grad. Nachon stał na progu swojego domu, patrząc na czarne niebo wiszące nad Egiptem jak ściana, i na czyste niebo nad własną głową, i po raz pierwszy od dziesięcioleci poczuł, że modlitwa, którą powtarzał każdego wieczoru, ma wagę, jakiej nie miała nigdy wcześniej.

Szarańcza — chmura, która żre

Ósma plaga przyszła na wschodnim wietrze, który wiał całą noc i cały następny dzień, aż niebo pociemniało od skrzydeł.

Tui patrzyła, jak szarańcza osiada na tym, co grad zostawił nietknięte, i jak w ciągu godziny nie zostaje nic — ani liścia, ani źdźbła, ani pąka na drzewie, które przeżyło dwadzieścia lat susz i powodzi. Kraj, który jeszcze tydzień temu miał resztki nadziei na jakiegokolwiek żniwa, teraz nie miał nic prócz nagiej, ogryzionej ziemi. Tui nie powiedziała nic — od tygodnia nie miała czego suszyć ani komu sprzedawać, a targ stał pusty i nikt go nie zwijał, bo nie było po co.

W pałacu dworzanie, ci sami, którzy jeszcze miesiąc wcześniej śmiali się z pasterza i jego brata, teraz sami przyszli do faraona, zanim on ich wezwał.

Rahotep nie przyszedł razem z nimi. Został w swojej komnacie przy świątyni, patrząc, jak szarańcza pożera ostatnie zboże, które miało zostać złożone w ofierze na dożynkowe święto Re za trzy miesiące — ofiarę, której teraz nie będzie z czego złożyć. Nie modlił się już tego dnia. Siedział tylko, próbując poukładać w głowie coś, co nie chciało się układać: przez osiem uderzeń jego bóg, władca nieba, słońca i porządku świata, nie odpowiedział ani jednym znakiem, podczas gdy bóg pasterzy z pustyni odpowiadał na każde wezwanie swojego proroka, dokładnie tam, gdzie zapowiedział, i dokładnie wtedy, kiedy zapowiedział. Rahotep znał różnicę między bogiem milczącym z powodu godności a bogiem, który po prostu nie ma nic do powiedzenia. Zaczynał się bać, że wie już, która to jest różnica.

— Czy nie widzisz jeszcze, że Egipt ginie? — usłyszał Senmut, stojąc pod ścianą, głos jednego ze starszych doradców, człowieka, który służył jeszcze ojcu Merenptaha. — Wypuść tych ludzi, niech służą swojemu Bogu.

Faraon zgodził się, potem targował się o to, kto dokładnie ma pójść — tylko mężczyźni, nie dzieci, nie stada — i Senmut zapisał tę targowinę z dziwnym uczuciem, że patrzy

na człowieka próbującego negocjować z powodzią o to, ile wody wolno mu zabrać.

Kenamon stał tego dnia przy drzwiach sali i słyszał wszystko, a wieczorem znów przyszedł do Senmuta — ale był już inny niż przy komarach, cichszy.

— Pamiętasz, jak mówiłem, żeby postawić strażę i zabić tego, kto to robi — powiedział. — Głupi byłem.

— Nie głupi — powiedział Senmut. — Młody. To się leczy samo, jak przeżyjesz.

— Patrzę na faraona, jak się targuje o to, ilu Hebrajczyków wypuścić — mówił Kenamon — i widzę, że on wciąż myśli, że to jest rozmowa. Że można coś wynegocjować. A ja stoję z włócznią i widzę już, że to nie jest rozmowa. To ktoś odbiera nam kraj kawałek po kawałku i pyta grzecznie za każdym razem, czy oddamy dobrowolnie, i za każdym razem, kiedy mówimy nie, bierze więcej.

Senmut popatrzył na niego z czymś, co nie było już tylko cierpliwością starszego wobec młodszego.

— Zrozumiałeś w miesiąc to, czego dwór nie rozumiał przez dziesięć plag — powiedział. — Nie mów tego głośno przy bramie. Ludzie, którzy rozumieją za wcześnie, źle kończą przy dworach.

Kiedy szarańcza w końcu odleciała, zmieciona zachodnim wiatrem do Morza Czerwonego, serce faraona stwardniało znowu, tak jak stwardniało po żabach, po muchach, po każdej uldze, która przychodziła po każdej klęsce.

Nachon widział przelatującą nad Goszen chmurę szarańczy, ciemniejszą niż jakakolwiek burza — nie osiadła na hebrajskich polach, przeleciała nad nimi, jakby wiatr, który ją niósł, znał drogę równie dobrze jak grad wcześniej — i pomyślał, że nie ma już potrzeby szukać dowodów. Dowody same przelatywały mu nad głową, jeden po drugim, coraz bliżej czegoś, czego jeszcze nie potrafił nazwać, ale czego już się nie bał tak, jak bał się na początku.

Ciemność — trzy dni nocy

Dziewiąta plaga nie miała dźwięku, nie miała zapachu, nie zostawiała ciał do pogrzebania. Miała tylko brak — całkowity, namacalny brak światła, który spadł na Egipt jak koc rzucony na płomień świecy.

Baki, kiedy słońce nie wzeszło trzeciego poranka z rzędu, siedział w swojej chacie z Meryt i synem, żadne z nich nie próbowało już wychodzić, bo ciemność była tak gęsta, że

nikt nie odważył się ruszyć z miejsca, w którym go zastała, obawiając się, że nie znajdzie drogi z powrotem. Lampy, które próbowali zapalać, gasły albo płonęły światłem, które nie sięgało dalej niż na szerokość dłoni.

W ciemności, kiedy nie widzieli już nawet własnych twarzy, Baki i Meryt zaczęli rozmawiać — pierwszy raz od wielu dni naprawdę, bo ciemność zdejmuje z ludzi wstyd patrzenia sobie w oczy i to, czego nie da się powiedzieć w świetle, przychodzi łatwiej po ciemku.

— Straciliśmy wszystko — powiedziała Meryt cicho. — Krowę. Len. Zdrowie twoich nóg. Zostało nam dziecko i ta chata.

— Zostało nam dziecko — powtórzył Baki. — Zostało nam dziecko, Meryt. Sąsiadowi z drugiej strony nie zostało — pierworodny mu zachorował po wrzodach i już nie wstał. A nam zostało.

Meryt milczała chwilę w ciemności.

— Boję się — powiedziała. — Nie ciemności. Tego, co po niej przyjdzie. Za każdym razem po pladze przychodzi gorsza. A my mamy jeszcze tylko dziecko do stracenia.

Baki nie odpowiedział, bo nie miał czym pocieszyć, a nauczył się już przez te tygodnie, że gorsze od braku pocieszenia jest pocieszenie kłamliwe. Znalazł po omacku

rękę żony i trzymał ją, i to było wszystko, co miał do dania, i oboje wiedzieli, że tej nocy to musi wystarczyć.

Zza ściany, z domu Tui, dobiegał w ciemności jej głos — mówiła do siebie, albo do bogów, albo do nikogo, monotonnie, tak jak mówi człowiek, żeby usłyszeć własny głos i upewnić się, że jeszcze jest. Nie żartowała. Tui, która żartowała ze wszystkiego, w ciemności przestała żartować, i to Bakiego przeraziło bardziej niż sama ciemność — bo dopóki Tui się śmiała, świat jakoś stał, a teraz Tui nie śmiała się już wcale.

W pałacu ciemność była tym samym więzieniem dla faraona, co dla żebraka na ulicy. Senmut, pisząc po omacku, palcami wyczuwając kształt znaków, jakich nauczył się rysować z zamkniętymi oczami jeszcze jako chłopiec, słyszał przez ścianę głos Merenptaha — nie rozkazujący, nie gniewny, tylko cichy, powtarzający wciąż to samo pytanie sługom, którzy i tak nie mieli na nie odpowiedzi: *Kiedy to się skończy?*

Trzy dni. Nikt w Egipcie nie widział twarzy sąsiada, nie widział własnej ręki podniesionej przed oczami.

Dla Rahotepa te trzy dni były dłuższe niż wszystkie poprzednie uderzenia razem wzięte. Świątynia Re, zbudowana tak, żeby każdego ranka pierwszy promień

słońca padał prosto na ołtarz w sanktuarium, stała w ciemności równie głębokiej jak najuboższa chata w Goszen — może głębszej, bo w chacie paliła się przynajmniej lampa, a w sercu sanktuarium, gdzie żadnej lampy nigdy nie trzymano, bo światło samego boga miało wystarczać, panowała teraz noc bez dna. Rahotep próbował odprawić rytuał pierwszego dnia po omacku, ustawiając naczynia z pamięci, powtarzając słowa, które jego usta znały lepiej niż własne imię — i po raz pierwszy od czterdziestu lat poczuł, że mówi je do pustki. Nie do boga, który milczy z powodów, jakich kapłan nie potrafi pojąć. Do pustki.

Drugiego dnia przestał próbować. Siedział w ciemności sanktuarium, tego samego miejsca, w które nigdy nie wchodził bez namaszczenia i oczyszczenia, i płakał po raz pierwszy, odkąd jako chłopiec stracił matkę. Nie płakał ze strachu przed śmiercią — śmierci nie bał się bardziej niż każdy Egipcjanin, który spędził życie, przygotowując grobowiec. Płakał, bo zrozumiał w tej ciemności coś, czego nie dało się już cofnąć: że jeśli jego bóg, który miał władzę nad samym wschodem słońca, nie potrafił rozproszyć ciemności nad własną świątynią przez trzy dni, to całe życie Rahotepa — każdy hymn, każde oczyszczenie, każda godzina spędzona na nauce imion i atrybutów, które miał

obowiązek znać na pamięć — było zbudowane na czymś, co nie miało mocy, żeby to udźwignąć.

Trzeciego dnia, kiedy światło wróciło równie nagle, jak zniknęło, Rahotep wyszedł na dziedziniec i odprawił poranny hymn tak, jak odprawiał go zawsze, głosem równym, bez drżenia, bo takie było jego miejsce i taki był jego obowiązek wobec ludzi, którzy nadal patrzyli na niego jak na most między sobą a niebem. Ale coś w nim, coś, co przez czterdzieści lat było skałą, zostało w tej ciemności, i nie wróciło razem ze światłem.

W Goszen paliły się lampy jak każdego wieczoru. Nachon czytał synowi ze zwoju przy zwyczajnym, żółtym świetle, i kiedy egipski handlarz przyszedł po cichu, po omacku, prowadzony przez własnego niewolnika, żeby zapytać, czy w Goszen też jest ciemno, Nachon zaprosił go do środka i posadził przy tym samym świetle, które paliło się dla wszystkich w jego namiocie, bez pytania o pochodzenie.

— Widziałeś teraz, gdzie jest światło — powiedział, kiedy handlarz odchodził, wciąż drżąc. — Zapamiętaj, kto je dał.

Krzyk o północy

Ostatnia noc różniła się od poprzednich dziewięciu tym jednym: Egipt wiedział, że nadchodzi. Mojżesz zapowiedział ją wprost, bez zasłon, przed całym dworem — o północy każdy pierworodny w ziemi egipskiej umrze, od pierworodnego faraona, który zasiada na jego tronie, po pierworodnego niewolnicy przy żarnach, po pierworodne bydło w oborach.

A wiedzieć, że śmierć przyjdzie o północy, i nie móc jej nijak odwrócić, jest gorzej niż nie wiedzieć wcale. Egipt tej nocy nie spał. Egipt siedział przy posłaniach swoich dzieci i czekał.

Baki nie miał już bydła ani plonów — miał tylko syna, i siedział przy jego posłaniu z dłonią na małej piersi, licząc oddechy, aż zaboląły go oczy.

— Liczysz? — szepnęła żona z drugiej strony posłania. Nie musiała pytać, co.

— Liczę.

— On nie jest pierworodny. — Powiedziała to już czwarty raz tej nocy, jak zaklęcie, które trzeba powtarzać, żeby działało. — Tuja urodziła się pierwsza. On jest drugi. Powiedz, że drugi.

— Drugi — powiedział Baki. — Śpij.

Żadne z nich nie spało. Bo to jedno przypadkowe zrządenie kolejności narodzin — że przed synem urodziła się córka — było tej nocy jedyną rzeczą, jaka stała między nimi a rozpaczą, którą czuli już w powietrzu, gęstniejącej jak przed burzą, na twarzach sąsiadów, którzy takiego szczęścia nie mieli.

O północy — nie chwilę wcześniej, nie chwilę później — pierwszy krzyk przeciął noc.

Przyszedł z domu trzy progi dalej: kobiecy, wysoki, urwany — taki, jakiego nie wydaje się z bólu ciała, lecz z bólu, który nie ma dna. Baki poznał ten głos, zanim zdążył pomyśleć — to była Nefret, którą znał od dziecka — i poznał, co ten głos znaczy. A zanim krzyk Nefret ucichł, dołączył drugi, z sąsiedniego domu. I trzeci. I dziesiąty.

Krzyk rozlał się na miasto jak woda przez pękniętą tamę — dom po domu, ulica po ulicy — aż przestał być pojedynczym głosem, a stał się jednym dźwiękiem złożonym z tysięcy, wznoszącym się nad Egiptem, jakby cały kraj wciągnął naraz powietrze i wypuścił je jako wycie. Nie było domu egipskiego bez zmarłego. Pałac nie różnił się od chaty; syn faraona leżał martwy w tej samej godzinie co syn więźnia w lochu pod pałacem, i obaj ojcowie wydali ten sam dźwięk, bo śmierć dziecka nie zna różnicy stanów.

Senmut wybiegł na ulicę, wyrwany ze snu wyciem, i zobaczył to, czego nie zapomni do końca życia: matki niosące na rękach dzieci, które już nie oddychały, i kołyszące je dalej, i mówiące do nich — bo matka mówi do dziecka nawet wtedy, gdy rozum już wie, że dziecko nie słyszy.

— Obudź się — mówiła jedna, klęcząc na środku ulicy nad zawiniątkiem w ramionach. — No obudź się. Rano pójdziemy nad rzekę. Obiecałam ci rzekę. Słyszysz? Obiecałam.

Senmut minął ją, bo nie miał dla niej nic — nie miał tego nikt w całym Egipcie tej nocy — i szedł dalej ulicą, na której przed każdym progiem ktoś klęczał, a przed świątyniami kapłani rozdzierali szaty przed bogami, którzy przez dziesięć uderzeń nie ocalili niczego, a na koniec nie ocalili nawet własnych synów.

Rahotep znalazł swojego pierworodnego w łóżku, jakby chłopiec spał — gdyby nie to, że pierś już się nie unosiła. Kapłan, który po trzech dniach ciemności zdołał zebrać tyle spokoju, by stanąć rano na dziedzińcu i odśpiewać hymn równym głosem, ukląkł teraz przy łóżku i wyszeptał — do syna, nie do żadnego boga:

— Wstań. — Dotknął jego policzka. — Wstań, no już. Ojciec cię prosi. Ojciec cię pierwszy raz o coś prosi.

A gdy chłopiec nie wstał, Rahotep wydał z siebie dźwięk, którego jego gardło nigdy wcześniej nie musiało wydawać — nie płacz kapłana, opanowany, rytualny, jaki znał z setek pogrzebów, lecz krzyk zwierzęcia, które straciło coś, czego żadna formuła, żadne namaszczenie, żadna godność urzędu nie zdołają oddać z powrotem.

Kiedy o świcie przyszli po niego inni kapłani, żeby razem rozdierać szaty przed pustym niebem, zastali go na progu z martwym synem na kolanach — milczącego, z oczami suchymi, jakby wypłakał wszystko w ciemności trzy dni wcześniej. Nie powiedział, co myśli o Re, o Heliopolis, o czterdziestu latach służby. Ale gdy usłyszał, że Hebrajczycy wychodzą cali, bez jednego zmarłego dziecka, nie zapytał, jak to możliwe. Wiedział.

W pałacu faraon, znalazłszy pierworodnego, wydał krzyk, który ani jednym tonem nie różnił się od krzyku, jaki wydałby Baki, gdyby jego syn był pierworodny. Bóg płakał jak niewolnik. A potem bóg, który był człowiekiem, posłał po Mojżesza w środku nocy — i po raz pierwszy nie targował się, nie stawiał warunków, nie mówił „idźcie, ale”.

— Wstańcie — powiedział, a głos miał starca, nie władcy. — Wyjdźcie spośród mojego ludu, wy i synowie Izraela. Idźcie, służcie waszemu Bogu, jak chcecie. Zabierzcie trzody, zabierzcie stada, zabierzcie wszystko — i idźcie już. — Urwał, a potem dodał ciszej, tak cicho, że Mojżesz musiał się pochylić: — I błogosławcie także mnie.

W tych trzech ostatnich słowach było więcej klęski niż we wszystkich dziesięciu plagach razem. Bo oto najpotężniejszy człowiek świata, żywy bóg, pan Obu Krajów, prosił zbiegłego pasterza i jego niewolników, by uprosili dla niego łaskę u Boga, którego przez cały rok nazywał niczym.

Senmut, stojąc w progu komnaty, do której nie miał już odwagi wejść, patrzył na martwego następcę tronu i myślał, że oto widzi ostatni dowód tego, co jego lud czcił od pokoleń jako prawdę o boskości faraona — i że ta prawda leży teraz na łożu, tak samo śmiertelna jak każde inne ciało w tym kraju.

A daleko, w Goszen, za drzwiami znaczonej krwią baranka, Izrael także nie spał — ale inaczej. Słyszeli wycie Egiptu niosące się nad polami, i żaden nie wyszedł, bo tak im kazano; siedzieli w domach, z łaskami w dłoniach i sandałami na nogach, gotowi do drogi, i słuchali, jak umiera

kraj, który trzymał ich w niewoli czterysta lat. I nie było w nich radości — na to było za wiele krzyku. Była groza. Bo człowiek, który słyszy, jak śmierć przechodzi tuż obok jego progu i nie wchodzi jedynie dlatego, że prógznaczony jest krwią, nie cieszy się. Taki człowiek milknie na resztę życia i już nigdy nie patrzy na krew baranka tak samo.

Znak na drzwiach

Bo to, co lud widział jako krew rozmazaną na odrzwiach, z góry wyglądało zupełnie inaczej — i żeby zrozumieć, dlaczego śmierć minęła jedne progi, a weszła w drugie, trzeba było patrzeć nie na drzwi, lecz ponad nie. Czternastego dnia miesiąca, kiedy w Goszen zabijano baranki, Mastema stanął przed Tronem, żeby mówić za swoją ziemią.

Miał do tego prawo. Nad każdym narodem stoi jeden postawiony i jego rzeczą jest mówić za swoim krajem — a temu urząd został, choć wierność nie została, i przez czterysta lat nikt mu tego urzędu nie odebrał. Bóg nie odbiera darów dlatego, że ktoś ich używa źle. To byłoby łatwiejsze i to nie byłaby wolność.

Miał przygotowane, co powie, i było to prawdziwe.

Że ci ludzie kłaniali się w Egipcie temu, czemu kłaniał się Egipt. Że brali egipskie żony i dawali dzieciom egipskie imiona. Że przez czterysta lat nie było między jednymi a drugimi różnicy, której dałoby się dotknąć ręką — a skoro nie ma różnicy, to na jakiej podstawie jedni mają umrzeć, a drudzy wyjść.

To nie było kłamstwo. Nic z tego nie było kłamstwem.

Nie pozwolono mu tego powiedzieć.

Związano go czternastego dnia i postawiono za plecami Izraela — nie strącono, nie zniszczono, nie osądzono: związano, jak wiąże się psa na czas, gdy przez podwórze przechodzą goście. Miał tak stać przez pięć dni.

Nie krzyczał. To jest rzecz, której ludzie nie rozumieją o takich jak on: on nie krzyczy, bo krzyk jest dla tych, którzy mają nadzieję, że ktoś usłyszy. Stał związany i liczył dni, i czekał na dziewiętnasty, i wiedział, że dziewiętnasty przyjdzie, bo wiązanie ma zawsze koniec.

A tej nocy spuszczone jego własne moce na Egipt.

Nie cudze. Jego. Te same, o które prosił kiedyś i które mu zostawiono, żeby miał czym kusić — i one poszły ulicami kraju, którego był księciem, i nie wiedziały, czyj to kraj, bo takie rzeczy nie wiedzą niczego. Wiedzą tylko, gdzie wolno wejść.

Urząd obrócił mu się w rękę. Przez czterysta lat mówił za Egiptem przed Tronem, a w noc, kiedy Egipt płacił, jego własne psy szły po egipskich pierworodnych i nikt ich nie zawrócił, bo nie było komu — bo ten, który mógłby, stał związany za plecami cudzego ludu i liczył dni.

Dlatego potrzebna była krew na drewnie.

Nie dlatego, że Bóg nie poznaje swoich bez znaku. Dlatego, że tej nocy szło przez Egipt coś, co poznaje wyłącznie znaki — i nie miało w sobie ani litości, ani okrucieństwa, tak jak nie ma ich ogień, i tak samo jak ogień nie zatrzymywało się przed niczym, czego nie kazano mu ominąć.

W domu Nachona krew na odrzwiach była jeszcze mokra.

Umazał ją pękiem hizopu o zmierzchu — trzy ślady, jak kazał Mojżesz: nadproże i dwa węgary — i krew ściekła po drewnie dwiema strużkami, i zaschła na brązowo u dołu, a u góry, gdzie było jej najwięcej, wciąż lśniła.

Wnuk zapytał, po co.

Miał sześć lat i było mu wolno pytać, bo tej nocy pytania były częścią obrzędu — Mojżesz powiedział: gdy zapytają was synowie, co znaczy ten obrzęd, odpowiecie. Ale chłopiec nie zapytał o obrzęd. Zapytał o krew.

— Żeby przeszło obok — powiedział Nachon.

— Co przejdzie obok?

Nachon otworzył usta i zamknął je.

Bo prawda była taka, że nie wiedział — nie do końca. Mojżesz powiedział: Pan przejdzie, żeby uderzyć Egipt, i zobaczy krew na odrzwiach, i minie te drzwi, i nie pozwoli *niszczycielowi* wejść do waszych domów. Dwa razy padło to słowo. Pan przejdzie — i niszczyciel nie wejdzie. Jakby to nie było jedno i to samo. Jakby oprócz Pana szło tej nocy przez Egipt coś jeszcze, coś, czemu trzeba pokazać znak, bo samo z siebie nie odróżni.

To była myśl, od której robiło się zimno, i Nachon nie podał jej dalej chłopcu.

— Coś, co nie patrzy na twarze — powiedział tylko. — Dlatego siedzimy w środku. Do rana nikt nie wychodzi za próg.

Siedzieli przy resztkach ognia, przepasani, w sandałach, z laskami opartymi o kolana.

Tak kazał Mojżesz: jeść w pośpiechu, na stojąco, jeśli trzeba, gotowi do drogi, bo wyjdzie przyjdzie tej nocy i nie będzie czasu. Baranek upieczony w całości, gorzkie zioła, chleb bez zakwasu, bo na zakwas nie było już czasu. Jedli, i nikt nie mówił dużo, i najmłodszy zasnął z głową na kolanach matki, a starsi nie zasnęli.

Około północy ustał wiatr.

Nie było go dużo przez cały wieczór, ale był — poruszał płótnem u wejścia, niósł od pół zapach dymu i owiec. A około północy ustał zupełnie, i cisza, która przysła, była innego rodzaju niż cisza nocy. Była to cisza, w której coś się dzieje, tylko nie tutaj — jak ta chwila, gdy w sąsiednim namiocie milknie rozmowa i wiadomo, że za chwilę ktoś zapłacze.

Pies w obejściu przestał warczeć w pół warknięcia.

I wtedy zza progu — z ulicy, z niedaleka, może o dwa domy — przeszło coś.

Nikt tego nie zobaczył, bo nikt nie spojrział. Nachon siedział twarzą do ognia i czuł tylko, jak wnukowi na jego kolanach jeżą się włoski na ramieniu, i jak sam robi to, czego przez całe życie kazał nie robić dzieciom: wstrzymuje

oddech, żeby go nie było słyszeć. Powietrze za płótnem zgęstniało na jeden długi moment, jakby ktoś ogromny przeszedł tuż obok w ciemności, nie dotykając niczego, i jakby chłód szedł od niego jak od kamienia wyjętego z rzeki.

Chłopiec otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

Nachon zakrył mu je dłonią. Delikatnie. I potrząsnął głową w ciemności, choć chłopiec nie mógł tego widzieć.

Coś stało za progiem.

Nachon był tego pewien przez trzy, cztery uderzenia serca — że po drugiej stronie płótna i mokrej krwi coś się zatrzymało, i że gdyby odsunął zasłonę, zobaczyłby to, i że nie wolno mu odsunąć zasłony za żadną cenę. Nie modlił się w tej chwili słowami. Całe jego ciało było jedną prośbą, żeby to przeszło dalej.

Krew u góry odrzwi wciąż lśniła.

I to — nie modlitwa, nie zasługa, nie czterysta lat wierności, tylko wąska smuga barankowej krwi na drewnie — to stanęło między jego wnukiem a tym, co czekało za progiem.

Potem chłód odszedł.

Powietrze zrobiło się z powrotem zwykłym powietrzem. Pies zaskomlał raz, cicho, i umilkł. A z daleka, zza pól, od

strony Egiptu, podniósł się pierwszy krzyk — i po nim drugi, i po nim całe miasto.

Chłopiec rozplakał się dopiero teraz, kiedy było już po wszystkim, jak płaczą dzieci — nie w chwili strachu, lecz po niej.

— Co to było — pytał przez łyzy. — Dziadku, co to było za progiem.

Nachon długo nie odpowiadał.

Myślał o tym, co Mojżesz powtarzał, gdy tłumaczył obrzęd: że to Pan sam przejdzie tej nocy, Pan, a nie posłaniec, nie anioł, nie żaden wysłannik — On sam. A jednocześnie: że jest ktoś, kto nie wejdzie, bo mu się nie pozwoli. Że trzeba znaku, żeby go zawrócić. Dwie rzeczy, które nie mieściły się razem, a obie były prawdą, i Nachon nie umiał ich pogodzić i przestał próbować.

Za progiem umierali pierworodni całego Egiptu — w pałacu i w lochu, w oborze i przy żarnach, bez różnicy, bo to, co szło tej nocy, gdy mu dano wolną rękę, nie odróżniało

pana od niewolnika ani kapłana od żebraka. Odróżniało tylko jedno: krew albo brak krwi na drewnie.

— Nie wiem, co to było — powiedział wreszcie Nachon, i była to prawda. — Wiem tylko, że przeszło obok. I że przeszło obok dlatego. — Wskazał brodą na odrzwia. — Zapamiętaj to na całe życie. Nie zapamiętasz mnie, bo mnie już nie będzie, kiedy będziesz stary. Ale to zapamiętaj: że była noc, kiedy śmierć szła ulicą i nie patrzyła na twarze, i że nas minęła nie dlatego, żeśmy lepsi, tylko dlatego, żeśmy zrobili, co kazano, i naznaczyli próg.

Chłopiec przestał płakać i patrzył na ciemniejącą krew.

Zapamiętał. Opowiedział to swojemu wnukowi siedemdziesiąt lat później, w ziemi, której tej nocy jeszcze nie było widać nawet w snach, i jego wnuk opowiedział swojemu, i tak ta noc szła dalej z ust do ust, aż przestała być wspomnieniem jednego starca, a stała się obrzędem całego narodu, który co roku piecze baranka i je gorzkie zioła i zostawia dzieciom pytanie: co znaczy ta noc.

Znaczy tyle: że przeszło obok.

Nad ranem posłaniec faraona przybiegł do Goszen, zanim jeszcze wzeszło słońce, z rozkazem, którego Nachon czekał od czterystu lat, choć nie wiedział o tym do tej pory.

— Wstańcie — powiedział posłaniec, głosem złamanym, obcym, głosem człowieka, który tej nocy stracił własnego syna i wiedział już, że nie ma sensu targować się dłużej. — Wstańcie i idźcie. Wszyscy. Ze stadami, z dziećmi, ze wszystkim, co macie. Idźcie, zanim umrzemy wszyscy do jednego.

Nachon wstał. Obudził syna, obudził wnuka, i po raz pierwszy od czterystu lat rodzina, która pamiętała Józefa, spakowała się nie po to, żeby przeżyć w Egipcie, ale po to, żeby z niego wyjść.